

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM IV

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 4

KSAWERY PRUSZYŃSKI
MARIA PAWLIKOWSKA
BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI
ZYGMUNT HAUPT
ANTONI SŁONIMSKI
BOGUSŁAW KUCZYŃSKI
STEFAN THEMERSON
MAREK CELT
STANISŁAW ILEWICZ
ANDRZEJ GUZOWSKI
SUADUS

LONDYN

KWIECIEŃ

1945

Billions of Bristles

Banished Daily

BY THE SOFTENING
SMOOTHING
SOOTHING LATHER OF



1/6 & 2/6 Including Tax

Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne

Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe

Orkiestra kontynentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

NALEŻY OBECNIE ZAO-
PIEKOWAĆ SIĘ FUTRAMI

VANEK jest największym mistrzem w przerabianiu, czyszczeniu i przechowywaniu futer wszelkiego rodzaju. Robota pierwszej klasy.
:: Wynagrodzenie umiarkowane. ::

Zgłaszaj się pod

4, WILLIAM STREET,

Knightsbridge, London, S. W. 1

również w BOURNEMOUTH.

IDEA AND WORD CHART

BRIGTH FLASHING GLEAMING RESPLENDANT BRILLIANT SCINTILLANT DAZZLING

IGNORANT ILLITERATE UNEDUCATED UNINFORMED UNLEARNED UNSCHOOLED UNTAUGHT UNTUTORED

EXCELLENT MATCHLESS PERFECT SUPERB SUPERIOR UNRIVALLED UNRIVALLED

BRAINY ERUDITE INTELLIGENT LEARNED LITERATE PROFUND SCHOLARLY VERSED

KEY WORDS TO ALL SPEECH

RZUT OKA WYSTARCZY BY ZNALEŹĆ WŁAŚCIWE SŁOWO

Każdy kto pragnie opanować język i mowę uzna Kartę Słów za bezcenny dar, za największą pomoc w mistrzowskim opanowaniu języka; jest to pomoc niezbędna dla budowania słownictwa.

NAJWIĘKSZE ODKRYCIE OD CZASU WYNALEZIENIA ALFABETU

Przynosi ci potrzebne słowo w każdej chwili gdy tego zapragniesz i daje ci nieodpartą potęgę słowa.

GILBERT FRANKAU powiada: „Jest to najlepsza pomoc jaką do tej pory odkryłem. Nie opuści teraz mego biurka“.

Nadesłaj teraz znaczek pocztowy za 1d. a dostarczymy ci egzemplarz.

Psychology Publishing Co. Ltd.,
(Dept. NOP/H.V.1)
Marple, Cheshire.

POLSKI KUŚNIERZ

dawniej Katowice

LANGER & CO. (FURRIERS) LTD.

59 Knightsbridge, London S.W.1

Tel.: SLOane 3626

Wykonuje NOWE FUTFA i przeróbki z własnych i powierzonych materiałów.

UWAGA! Wyjątkowa 25%-towa zniżka cen futer gotowych na składzie.

Specjalne udogodnienia dla prowincji.

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM IV

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 4

LONDYN

K W I E C I E N

1945

KSAWERY PRUSZYŃSKI

STANISŁAW STASZIC

1. NA JAMARKU W ZELWIE...

Rok pański 1788 jest jedną z tych niezwykle szczęśliwych dat w naszej historii za którą żaden polski uczeń w żadnej polskiej szkole nie dostał dotąd pały, a zapewne nie dostanie jej nigdy: albowiem nic się w tym roku nie działo. Był jednocześnie jednym z tych lat, także w każdym polskim pokoleniu nielicznych bardzo, które później ci co je przeżyli mieli wspominać z ciepłym i serdecznym wzruszeniem właśnie dlatego, że żadne, ale to żadne wydarzenie nie uczyniło tego niezwykłego roku rokiem nieszczęsnym dla tych, co wtedy żyli, czy też rokiem historycznym dla tych, co dopiero mieli o nim czytać w dwa pokolenia później. Długi pokój, w Europie od wojny siedmioletniej, w Polsce od zawieruchy barskiej, przyniósł to co niezależnie od czasów, ustrojów i krajów długotrwały pokój zawsze i wszędzie przynosi: to jest dobrobyt. Rosja wdawszy się w przydługą wojnę turecką, a ostatnio i szwedzką nie miała czasu zajmować się owocniej Polską: a fakt ten niezawodnie podziałał dodatnio i na losy Polski, i na dobre stosunki obu krajów. Okoliczność wreszcie, że od blisko dwudziestu lat Polska posiadała nareszcie coś, co można było nazwać szkołami, a nawet bardzo dobrymi jak na owe czasy szkołami, że w tych szkołach, stworzonych z inicjatywy i ze staraniem niedocenionego przez gawiedź potomną Stanisława Augusta wyrosła już i weszła w życie całonowa generacja polska, także działała korzystnie. Był to w ogóle dobry rok! Ceny na zboże w Gdańsku podniosły się były bardzo wydatnie, i obroty na tej głównej giełdzie w ówczesnej Polsce były bardzo piękne: nawet i ceny na drzewo i drzewny produkt, potasz, specjalność naszych ziem za Bugiem, były na ogół dobre, toteż Stanisław August postanowił sprzedawać po nieco wyższej cenie czerwone wstęgi orderu świętego Stanisława, zaś znany warszawski fabrykant powozów Dangel podnieść jeszcze więcej swe ceny na resorowane angielską modą kariolki. Nie były to jedyne oznaki pomyślności. Polska sprowadzić miała w owym roku rekordową jak na owe czasy ilość kawy (już popularnej), herbaty (coraz modniejszej), a wreszcie (najmodniejszej już) czekolady: z Anglii aż do Brześcia sprowadzano piwo angielskie: a aż do Dubna, na wołyńskie kontrakty, setki oblodzonych bezułek ostrzeg. Bowiem Radziwiłł z Nieświeża i Lubomirscy z Łucka i Dubna mieli tę niespożyłą zasługę, że nauczyli

miejscowe szlagonstwo łykać takowe w przerwach pomiędzy schabem a bigosem. Nie obfitując nadmiernie w sensacje, rok nie był i nudnym. Ci, których znudziła dogasająca afera sądowo trucicielska pani Dogrumow, mogli się interesować nowszymi nieco szczegółami intymnego rozwodowego procesu małżonków Sapiehów: ci zaś, co po staremu najwięcej przywiązywali wagi do tego co słychać w Rzymie, mogli się zastanawiać nad przyczynami, przebiegiem i skutkami niezwyklej podróży jaką Ojciec święty Pius VI odbył właśnie aż do Wiednia. Pobożni Polacy nie ukrywali zawodu. Papież był tak blisko świętego Krakowa i cudami słynnej Częstochowy: czemuż odwiedził tylko cynicznego, zamykającego klasztery i kasującego święta cesarza Józefa? Nieprędko wróci taka okazja. Te i inne niemniej palące sprawy rozważano nie tylko w rozmowach przy kominie i piwsku, ale także na jarmarkach po całej Polsce. A były one tego roku szczególnie uczęszczane i świetne, albowiem jarmarki odgrywały rolę giełd, kontaktów gospodarczych, ba, politycznych, towarzyskich i jakich tam jeszcze.

Niezawodnym objawem tego, że kraj obrastał w pierze był fakt, że w owym roku na owych jarmarkach pojawiły się szczególnie licznie... książki. Przeciętny ówczesny obywatel, to jest szlachcic ziemiański, nie nawiedzał Warszawy niemal nigdy, czyli właściwie nigdy nie był w mieście. To bowiem, co było poza Warszawą (i Gdańskiem) a jednak nie było w zupełności wsią, nie bardzo zasługiwało na nazwę miasta, i nazywając potocznie Wilno, Łęczycę, Owruć, Poznań, Biłgoraj i Rawę Ruską „grodami” przodkowie nasi bynajmniej nie popełniali archaizmu czy nieścisłości: oddawali dość ściśle prawdziwy stan rzeczy. Rzadko bardzo — po parę na województwo — prenumerowano nieregularnie wychodzące warszawskie „gazety”: znacznie więcej wolano wydawać na stary węgierski tokaj lub wypierający go szampan. Księgarz i książka musiały zatem gonić czytelnika, jak pachciarz dziedzica, lub żebrak wychodzących z kościoła, musiały — księgarz i książka — zaskoczyć go w chwili dobrego humoru, pełnej kieszeni i rozbudzonej z nagła ciekawości. Dobrnąć aż do niego. W tym roku uczyniły to szczególnie natarczywie, aczkolwiek w większości przypominały podobne wydawnictwa z lat poprzednich. Nie było wprawdzie nowego herbarza — wydana przed kilkudziesięciu laty wielotomowa „Korona Polska” ojca Niesieckiego jeszcze wystarczała, ale było sporo ulubionych a egzotycznych żywotów świętych i pokaźna, jak zawsze w Polsce, ilość kalendarzy. Był wiece Macieja Dębskiego pompatyczny „Kalendarz Królestwa Polskiego”, był kalendarz „polski i ruski”, był „dokładny gospodarski zwyczajny” — (inne, widocznie, były niedokładne), był „polski i ruski wedle lwowskiego horyzontu.“ Ówczesny Lwów posiadał widać osobisty horyzont. Przeważały wydawnictwa kościelne. Smogorzewski wydał właśnie przydługi i ciężki jak zwykle list pasterski: był to Smogorzewski Jazon, archimandryta kijowski, którym za parę lat miała zaopiekować się szczególnie aktywnie ambasada rosyjska, o którego w kilka lat potem miała, przynajmniej formalnie, wybuchnąć wojna polsko-rosyjska. Były i inne wydawnictwa. Nudny, ale nie-strudzony ksiądz Mojkowski wydał właśnie swe „kazanie na dzień pamiątki koronacji Stanisława Augusta“ wyszło anonimowe i ciekawe „opisanie gospodarstwa pszczelnego” w świątłych, chreptowiczowskich Szczorsach, były i dwa listy pasterskie nieubianego prymasa, Michała Poniatowskiego. W pierwszym z nich poprzednik Kardynała Hłonda zabraniał najuroczyściej poniewolnego chrzczenia żydów: najwidoczniej, nie ostygła jeszcze zupełnie w nastrojach religijnych szlachta wzbogacała czasem tą drogą kościół katolicki w nowe owieczki. Drugi list księcia prymasa zalecał plebanom dbać o coś o co dotąd bodaj nikt nie dbał, a i długo potem nikt nie miał dbać w Polsce: mianowicie o zdrowie ludu. Żaden z tych listów, rzecz prosta, nie przysporzył bratu królewskiemu popularności. Ale sprawą żydowską interesowano się w roku pańskim 1788

niemniej jak w 1937, bo wyszły jednocześnie „Zabobony żydowskie” oraz „Żydzi, czyli konieczna reforma żydów”. Przekłady obce reprezentował „Diabeł rozkochany — nowina hiszpańska”, oraz przekład Owidiusza „O sztuce kochania” pióra Hulewicza. Traktat niejakiego Grebla „O mającej już *rychło* nastąpić wielkiej odmianie ziemi” wprowadzał zawsze aktualne rozważania na temat końca świata, a wydany drukiem „dekret między Radomskim a Radomską względem nieprzyzwoitego czynienia” wzbogacał niewątpliwie cennie chronique scandaleuse tych czasów. W takim to tłumie, pewien anonimowy szlagon ówczesny odnalazł wydaną już o prawie trzy lata wcześniej, całkiem odmienną książeczkę, która go tak uderzyła, że sam siadł, napisał i wydał — anonimowo, rzecz jasna — swoje o niej uwagi. Przy okazji opowiedział nam nader dokładnie, co kiedy i jak.

„Będąc w roku teraźniejszym — brzmi ta relacja — pierwszych dni sierpnia w Zelwie na jarmarku, przy innych sprawunkach dla rodziny mojej z żony i kilkorga dzieci składającej się, przechodząc koło sklepu z książek złożonego Jmci Pana Groella, kupiłem między innymi książkami *książeczkę małą*, mającą intyulację „Myśli z okazji uwag nad życiem Jana Zamoyskiego”. Wyjechawszy z Zelwy drogą do Wołkowyska na Szydłowice, Brzostowicę Wielką, Hołynkę, Waliby aż do Zabłudowa kosztem i z insynuacji J. W. Stanisława Potockiego, bywszego wojewody Ruskiego, a dzisiejszego Generała Artylerii Koronnej robioną, i z kamieni uprzątinioną, gdzie i w tym ten mąż wiekopomny daje przykład innym współobywatelom i sąsiadom, stanąłem na noc w Wołkowysku. Rano, jadąc z Wołkowyska ku Brzostowicy Wielkiej na południe, mając *spodobność przez dobrą drogę* czytania książki, dobyłem z torby mojej podróźnej owej książeczki kupionej w Zelwie, którą przeczytałem *uważnie w trzech godzinach*. Stanąłem na obiad pod Brzostowicą Wielką u przyjaciela mego dawnego **LECZ PRZYZNAM SIĘ LUBO DOBRY BYŁ OBIAD I JADŁEM** go z apetytem, przecież nie tak mi smakował jako owa książeczka w której myśl wytłumaczona obejmowała myśli moje *snujące się...*”

Rezultatem tych myśli snujących się była niewielka broszurka, ta właśnie którą cytujemy i której autora nie znamy. Domyślają się go jedynie historycy: ale mniejsza o niego! Ważniejsze może, że w nader prosty, bezpośredni sposób opisał jak temu lat stopiećdziesiąt wpadała w ręce ówczesnego społeczeństwa jedna z najgłośniejszych, najbardziej ciężarnych myśla, książek polskich jakie kiedykolwiek wyszły.

Nazywała się, jak już nam objaśnił ów nieznany szlagon „Uwagami nad życiem Jana Zamoyskiego”, ale jej związek z wielkim Polakiem sprzed dwóch stuleci, był nader luźny, natomiast jej związki z chwilą obecną ogromnie ścisłe. W ramach biografii zawarły był traktat polityczny. Czy tylko? Gdzie tam! Obyczajowy, gospodarczy, wojskowy: światopogląd cały: pedagogika nawet: czy przede wszystkim. Pod niewinnymi na pozór kształtami ukrywał się pocisk który miał wybuchnąć nie wtedy gdy już dostał się do ręki, ale dopiero wtedy gdy dostał się już do mózgu. A wiemy, że do mózgowicy polskiej nigdy, także i w czasach posaskich, dostać się nie było łatwo. Zawsze trzeba się było zakradać.

Można by napisać cały traktat o tym jakich tricków używali na przestrzeni paru stuleci różni bardzo polscy pisarze aby jednak przelamywać narodowy księgowstręt. Piotr Skarga korzystał z pobożności, ba, bigoterii społeczeństwa swych czasów i pod postacią religijnych kazań wtłaczał im w łby podgalane całe traktaty polityczne, ustrojowe i społeczne, takie właśnie, które wydane po prostu w formie traktatów społeczeństwo nie łyknęłoby nigdy. Za naszej pamięci Tadeusz Boy Żeleński musiał używać innych metod aby szersze kółła publiczności polskiej wbrew jej najlepszej, czy raczej najgorszej woli, zapoznać bliżej z Voltaiem, z Balzakiem, z Pascalem katolickim, z Molierem samym, z olbrzymim, wspaniałym dorob-

kiem wielkiego i wolnego narodu. Jego studia nad literaturą czy filozofią francuską ukazywały się przystrojone w opaski „tylko dla dorosłych”, lub nosiły des titres allechants jak „Flirt z Melpomeną”, „Pijane dziecko we mgle”, „Mózg i pleć”, „Plotki, plotki”. Dopiero wtedy i tylko wtedy lekka, powierzchowna, ciekawska i płytka publiczka naszych czasów mogła się być przekonana do Descartes’a. Ale publiczność o jaką chodziło autorowi „Uwag” nie była boyowska: byli to ludzie stateczni, przyziemni nieco, poważni, *respectable*, powiedzieliby Anglicy, nieruchliwi, na ogół nudni: coś jak przedwojenni czytelnicy „Kuriera Warszawskiego”, jak dzisiejsi jeszcze czytelnicy „Timesa” (nie „New Statesmana”, czy „Tribune”): a w społeczeństwie ówczesnym stanowili wszystko. Oni, i prawie że wyłącznie oni, mieli wtedy coś do gadania. Takich czytelników spłoszyłby i zraził zawczasu byle pozór, byle jaskrawszy tytuł, śmielsze pierwsze zdania. Od razu — jak to w Polsce bywa — potęliby nie czytając wcale, nie wiedząc nawet o co właściwie chodzi. Trzeba było i tytułu i wprowadzenia i pozorów, które by uspakajały nie płoszyły, które by wprowadzały w atmosferę życzliwości, jak w osłonę dymną. Książka musiała wydawać z siebie nie swąd reformatorskich pomysłów ale jakowejś błogiej, wspominkowej staropolszczyzny. Bo Polacy zawsze lubili wspominać przeszłość.

Pod tym właśnie względem „książeczka mała“, jaką kupił na straganie w Zelwie nieznanym nam szlagon była niewątpliwie pomyślana znakomicie. Wyglądała jak rodzaj biografii. Przez parę ostatnich wieków biografie stanowiły przynajmniej 70 procent ogólnej produkcji książkowej jaką w ogóle miała Rzeczpospolita. Czymże bowiem były płodzące się licznie — sam Piotr Skarga napisał ich ponad 40 — żywoty świętych? Czym były wydawane obficie mowy pogrzebowe wygłaszane przez tych czy innych kaznodziejów na pogrzebach większych czy mniejszych panów? A życiorysy hetmanów, kasztelanów czy biskupów rozrzucone po herbarzach, jak nie odległymi krewniakami naszych współczesnych wies romancées? A przekładane już, lub czytane w łacińskich tekstach żywoty starożytnych, pióra Plutarcha, Sallustiusza, Neposa? Nawet gdy inne rodzaje pisarskie zamierały, ten najwyżej zwyrodniał; nawet epoka saska, ze swym paleniem książek na sejmikach i tropieniem pisarzy po zajazdach, nie wiele zdziałała. Przetwał. Wreszcie, z powiewem nowszych czasów, zaczął się przeradzać, unowocześniać, ześwieczczać i właśnie niedawno królewski dziejopis, biskup Naruszewicz, pokazał, że żywot Jana Karola Chodkiewicza, hetmana i zwycięzcy spod Kircholmu może być co najmniej interesujący jak żywot świętego Onufrego lub Pryscylli Dziewicy. Społeczeństwo zaczynało wracać myślą coraz częściej do wielkiej i wojennej przeszłości własnej, a wracało do niej nawet wtedy, jeśli w takich książkach jak naruszewiczowski życiorys Jana Karola, czytało gorzkie rzeczy o sobie samym. Tak, biografia była tym koniem trojańskim we wnętrzu którego można było przemycić w głęboką noc polskiej Troi jeśli nie zastępy żołnierzy, to posiewy myśli.

Bohater był zaś wybrany może jeszcze lepiej niż metoda pisarska. W odróżnieniu od Jana Karola Chodkiewicza, Jan Zamoyski, inny nasz hetman, posiadał o wiele bardziej różnorodną, bogatą i wieloraką przeszłość. Był to bodaj jedyny — do Władysława Sikorskiego Polak, który skupiał w swym ręku jednocześnie ówczesną tekę premiera, czyli pieczęć kanclerską, i godność naczelnego wodza, to jest buławę hetmańską. Był to nie tylko szczęśliwy wódz który pokonał w boju Moskali i Austriaków, a trzymał w niewoli wiedeńskiego arcyksięcia. Był to jeszcze szlachecki polityk i demagog „trybun szlacheckiego ludu” który poprowadził i zorganizował tłumy średniej i drobnej szlachty, przełamał polityczną władzę magnaterii, torował pierwsze kroki ku demokracji szlacheckiej. Jeśli w dwieście lat potem szlachcic na zagrodzie był, teoretycznie i prawnie przynajmniej, równy wojewodzie, jeśli każdy kto ojczyznę szablą bronił mógł swego króla

wolnie obierać, to wszystko było dziełem Zamoyskiego. Był to, pomimo swej delii, kontusza i żupana, niejako Witos mas szlacheckich Złotego Wieku: obudził w tych masach i udojrzałil myślenie polityczne; tak, był to Witos, lepiej rzecz jasna nagrodzony przez ówczesną Polskę niż nasz Witos przez naszą. Zapewne, wiele się w ciągu tych dwustu lat od Zamoyskiego zmieniło w Polsce, powyrastały nowe potęgi magnackie, nowe nierówności, demokracja szlachecka poczęła degenerować skoro sama nie rozszerzyła się na dalsze warstwy i sami Zamoyscy byli już jedną z kilku czy kilkunastu magnackich dynastij w Polsce. Tak, ale na zawsze pozostał sentyment do postaci wielkiego reformatora, męża stanu i wodza którego prochy leżały w pięknym, przez niego zbudowanym, Zamościu. Za jakieś sto lat kiedy ludowcy będą okazywać większe zrozumienie dla literatury niż dzisiaj, żywoty Wincentego Witosa będą cieszyć się także swoją popularnością.

Jadąc zatem bryczką po wyjątkowo niewybois ej drodze mógł nasz szlagon zelwianiński otworzyć swą książeczkę z tym większą przyjemnością. A gdy to już zrobił z rosnącym zaciekawieniem czytał sam jej wstęp. Było, istotnie, powszechnym zwyczajem dedykować najmniejsze nawet dziełko, jakiejś odpowiednio znakomitej postaci i czyniono to w pełnej superlatywów, sąźnistej i unizonej oracji, której by nawet nasi dzisiejsi wazelniarze nie potrafili niczego dodać. W owych dobrych czasach nie było to zresztą wyłącznie wynikiem służalczych instynktów autora: czasem, niestety, było szukaniem osłony. Cenzury publiczne czy prywatne, kościelne, miejskie, czy sejmikowe jak w Polsce, zawahałyby się bowiem przed ściganiem książki która posiadała możnego protektora. Stąd w absolutnej Francji niejedyn traktat przeciw absolutyzmowi dedykowano... królowi. Dedykacja była też niezłą wskazówką dla czytającego kto za autorem *stoi*, z jakiego obozu, mafii czy koterii magnackiej dany druk wyszedł. Dedykacja zdradzała polityczną orientację autora. Nasz szlagon pospieszył tedy ku dedykacji, i znalazł, rzecz jasna, takową, ale nader oryginalną. Oto anonimowy autor — poza panegirykami większości druków w tej wolnej Polsce była anonimowa — sam zastanawiał się *komu* dedykować swe dzieło? Może odepchniętemu przez szlacheckie społeczeństwo za swój postępowy projekt praw, dziedzicowi wielkiego Jana, Andrzejowi Zamoyskiemu? Może potężnym i popularnym Potockim? Może „Królowi mądrymu”? Ale przecież to jego wstąpienie na tron stało się zarzewiem wojny domowej? Aż wreszcie autor wybuchał:

„Nikomiu z Panów tego dzieła ofiarować nie będę! Te samoistne dusze, jeszcze po tym ostatnim doświadczonym nieszczęściu — (niewątpliwie, dopowiadał sobie czytelnik, aluzją do pierwszego rozbioru) — równie podle, jak za panowania Sasów, tak za Stanisława Augusta chowają między sobą zawziętości i klótnie. Panowie swojej osobistości i dumie poświęcić resztę Polaków gotowi”.

Posunięcie było śmiałe, lecz zręczne. Oddanie się pod protekcję jednego „pana” to jest magnata narażało, rzecz jasna, wszystkich innych. Stronnika Czartoryskich zwalczałby nieświeski, potężny na Litwie, Radziwiłł; stronnika Poniatowskiego zwalczałiby Potoccy. Tak autor nie kadził żadnemu z magnatów, a jeśli narażał się im wszystkim to równomiernie: a ani Król nazwany „mądrym”, ani Andrzej Zamoyski nazwany najcnotliwszym w Polsce obywatelem”, ani Potoccy, którzy „nigdy swej pysze nie poświęcili kraju, nigdy dla pogńębienia strony przeciwej nie wezwali pomocy obcej” nie mogli się zbyt obrażać. Ostre słowa przeciwko panom-magnatom puszczane były anonimowo. Nie dotyczyły imiennie Piław, Trąb czy Pogoni: były w całą klasę. Zaś klasa ta, choć jeszcze potężna, była właśnie w obecnym okresie coraz mniej popularna w Polsce...

Z tym większą radością, jak o że sam nie będąc magnatem, był przecież ziemianinem szlachcicem, czytał nasz szlagon na bryce, w drodze na Brzostowicę Wielką, dalsze ustępy wstępu:

„Stanowi szlacheckiemu uwagi swe ofiaruję. Niech Szlachta *sama o sobie* myśli. Już ją *nie raz* zdradzono. Wolność powierzyciela nie cierpi. A jeżeli wolności ocalić nie można, niech pamięta, że prócz wolności zostaje się imię, całość kraju, sława narodu, zasługi, urzędy do zachowania...“

Są słowa które wietrzeją z latami, tracą treść, dezaktualizują się i po latach trzeba im przywrócić pierwotną świeżość ich spłowień. „Niech szlachta sama o sobie myśli”, tłumaczono na bryce szlagońskiej i w domu sąsiada; „niech się nie spuszcza we wszystkim, sejmik, trybunał czy sejm, na okolicznego magnata, niech nie oddaje swych kresek wyborczych, swego głosu i wpływów wśród braci Radziwiłłom za wieś zastawną. Czartoryskim za wyrobiony urząd podstolego czy cześnika, Potockim za wieś puszczoną w zastaw: niech *sama swe* prawa polityczne sprawuje”. Bo „wolności powierzyciela nie cierpi”. „Już ją nieraz zdradzono”. Znowu szlachcic ziemiański miał aż za wiele przykładów takich zrad, zbyt dobrze pamiętał jak jego głosami zonglowali sobie panowie. Tak, to wszystko jest prawda, panie bracie, święta prawda mosterdzieju! powiedział sam do siebie szlagon ziemianin. Albowiem tak już jest, że zawsze uważamy za świętą prawdę to, co odpowiada naszym interesom.

A że droga, wyremontowana przez bywszego wojewodę ruskiego, była wyjątkowo dobra, przeto mógł czytać dalej:

„Wielki narodzie! dokądże w tej nieczulości trwać będziesz? Czyliż tak ginąć myślisz aby się nic więcej po tobie nie zostało tylko niesława? Nie masz przykładu aby osiadłych na najobfitszej ziemi, udarowanych przez naturę szczególnymi przymioty, kilkanaście milionów ludzi *bez sposobu ratunku, owszem bez myślenia o sobie, z oziębłością niewoli czekało*. Upadały od dawna mocarstwa największe, ale ich sława jest nieśmiertelną, a przy ich upadku męstwo ich na wieki uwielbia potomność.

Gdy w kilka tysięcy lat potem znowu czytam, że Kartaginczykowie długimi obrony wojnami zniszczeni w ostatku swego konania schyłku ani broni, ani wojska, ani przyjaciół nie mając, przecież nie czekają z oziębłością niewoli, ale *czym prędzej wszyscy łączą się: dają wolność niewolnikom*: Pałace, Kościoły, rynki publiczne zamieniają się w kuźnie: jedni z domu i z Kościołów sprzęty i posągi, w niedostatku żelaza, srebro i złoto przynoszą: drudzy po kilkaset tarczów, tarczów, dziur i tysiącami strzał na dzień robią. Kobiety, pierwszy raz podobno na swoje piękno obojętne, ucinają sobie włosy i z nich kręcą potrzebne do obrony miasta powrozy. Taką miłość Ojczyzny w Kartaginy dziejach czytając, żaluję ludu tego. Cierpią razem z mężnymi Kartaginczykami: nienawidzę gwałtowniki i zdrajce Rzymian!.

W dziejach rodzaju ludzkiego jeszcze tylko nie dostaje dziejów i upadku wielkiego i nikczemnego ludu który bez ratowania się ginął. Czyliż to ohydne miejsce Polacy zastąpią?

Sobieskich, Chodkiewiczów, Zamoyskich, Bolesławów synowie! Czyliż może być podobieństwo abyście bezsławnie ginęli?

— Niepospolita książka, zawyrokował ów czytelnik szlagon (albowiem w im spokojniejszych czasach żyjemy tym bardziej nami wstrząsają perspektywy przyszłych nieszczęść.) Po czym czytał dalej. Czytał zaś tak gorliwie, że nie tylko zapomniał o swym smacznym obiedzie, ale sam chwycił niebawem za pióro i spisał, choć pokrótce, swoje o niej uwagi. Współcześni mu czytelnicy w najróżniejszych zakątkach Polski porobili to samo. Niebawem wyszło kilkanaście osobnych broszur, przeważnie polemicznych i zwalczających, jak to zwykle u nas bywa: ale znowuż, też jak to zwykle u nas bywa, głosy te „nie szły w niebiosy”. I książka, niewielka książeczka, miała przetrwać. Była naprawdę niepospolita.

Albowiem sam żywot wielkiej postaci historycznej z przeszłości, aczkolwiek na ogół wierny, stanowił tylko pozór, tylko zewnętrzne ramy tej książki. Ramy cienkie bardzo, bardzo dużego obrazu. W samym zaś obrazie, jak w matejkowskim Grunwaldzie, było, po trosze, wszystko. „Pantofelków, butów gęstwa, fantastycznie posplatana”, powiedziałby o tym król polskiego dowcipu; i miałby rację co do pantofelków, bo nawet zagadnienie wychowywania kobiet czy wyjazdów pań za granicę, było tam poruszone po spou a narówni z zagadnieniami natury budżetowej, strategicznej czy dyplomatycznej. Książka nie miała budowy: książce

brakło było proporcji i hierarchii. Rzeczy małe spletały się z najważniejszymi, drobiazgi ze sprawami zasadniczymi, reminiscencje osobiste z chłodnym, logicznym rozumowaniem. Pod wieloma względami książka przypominała takie starszlacheckie *silva rerum*, t.j. księgi trzymane po dworach, do których szlagon na przestrzeni swego życia zapisywał wszystko po społu, i przepis na wędzenie dziczyzny, i wrażeń z sejmiku, i daty urodzeń dzieci i rozważania religijne, i spostrzeżenia polityczne i zasłyszane plotki lub zamorskie wiadomości. Pod innymi przypominała kazania: tak, było to wielkie, prawdziwe kazanie o Rzeczypospolitej, pełne kandydżeńskich obrazów i alegoryj kościelnych:

„... tak sobie rozmyślając spostrzegłem... pod górą na dole bydła, koni, wozów, kobiet, dzieci i mężczyzn gromadę. Widząc tamże rozległy na miłę zapust po którym ornych niegdyś zagonów jeszcze wznosiły się grzbiety, domyśliłem się, że jest to nowa osada. Pobiegłem ku niej z radością błogosławiąc, chciałem jej życzyć szczęśliwego początku. Moja radość trwała nie długo. Usłyszałem, że są to ludzie którzy ucickają z Polski za granicę z tych przyczyn: Że złych mieli Panów, na których sprawiedliwości nie mają: że chłop polski większy dając podatek niżeli chłop zagraniczny: że za granicą obrone, sprawiedliwość i bezpieczeństwo majątku człowiek ich stanu odbiera: przybysze obcy podatku żadnego przez lo lat nie płacą i ich dzieci do żołnierzy brane być nie będą itd. — Z żalnością mówilem do nich: „A komu się uskarżycie jeżeli wam nie dotrzymują obietnicy?” — Odezwało się kilku razem: „w tym kraju nie dotrzymać nam słowa może tylko monarcha: w Polsce każdy szlachcic”. Na to odpowiedzieć nie umiałem”.

Nie był to wcale najmaskrawszy obraz krzywdy społecznej jaki poprzez te karty, jak ilustracja mignął: cytujemy go, bo był jednym z krótszych. Jako innego rodzaju ilustrację, tym razem narodowego upadku, pojawiały się gdzie indziej takie oto, nietrudne dla współczesnych Katarzyny II i elekcji Stanisława Augusta obrazy:

„Widziałem drugie, nierównie od pierwszego większe, ludzi zgromadzenie w polu otwartym, jakoby po śmierci Króla dla obrania nowego. Spostrzegłem i tu owych bogaczy uwijających się od jednego człowieka do drugiego z workiem pieniędzy, z podłymi ukłony i butelką wina. Każdy płacił, prosił i poił aby go królem obrano. Wtem przybył z wejrzenia wspaniały i urodziwy młodzieniec, przysłany od Pani wielkiej na północy, z licznym żołnierstwem i tym nakazem aby on był królem. Nagle owi wolni elektorowie uląkłszy się karabinów i zatoczonych armat wołali bez upamiętnienia „Vivat Król z wolnością i zgodnymi głosami obrany!” Rozumiałem, że ze strachu wszyscy, poszaleli nie przestając krzyzczeć i nazywać wolnością tak oczywistą przemoc. Obok mnie stał mąż którego postać ukazywała wielki rozsądek. Ten, dotychczas na wszystko z obojętnością patrząc, to rzekł do mnie: „jak wiele może zwyczaj i mnicmanie na nie myślących ludziach! Ten lud nie chce przyjąć dziedzictwa tronu z przyczyny, że w takim razie nie naród sobie, ale los wyznacza mu królów. Ten lud, zwyczajony do niewoli nie nazywa tego przymusem ani ślepym losem, że mu jakaś o kilkaset mil odległa na północy Pani jednego, często z intrygantów, albo z swych polubienców, za Króla przysłała”.

Krzywdą chłopska, tak dotkliwa że chłop z Polski uciekał do habsburskiej już Galicji, pod cesarskiego starostę i błędy ustroju politycznego państwa były przedmiotem tych ilustracji opisowych. Dziś czytamy to dosyć obojętnie. Dla nas jest jasnym, że położenie chłopów w XVIII wieku było jedną z takich hańb historii jak niewolnictwo Murzynów ongiś, jak obozy koncentracyjne naszej epoki, jak organizowane przez władze pogromy żydowskie carskiej Rosji. Tak; — ale znowuż *wtedy* było inaczej. W powszechnym pojęciu tych czasów „narodem” była jedynie szlachta, chłopcy byli całkowicie poddani władzy dziedzica, nie tylko nie posiadali żadnej własności nieruchomości, niewiele innej, nie tylko nie mogli zmienić miejsca pobytu i zaskarżyć swego dziedzica do sądu, ale byli uzależnieni od niego nawet w takich aktach, jak wejście w związki małżeńskie. Stosunek pćiowiy szlachcianki z synem chłopskim był w oczach ówczesnego społeczeństwa, a w każdym razie w oczach licznych jego kół, tym samym co tak zwany grzech sodomski. Przyłapanej dziewczynie groziła publiczna chłosta i pokuta więzienna, parobczakowi — po prostu pal. Dopiero na tym tle można zrozumieć, jak rewolucyjnymi były reformy tak dzisiaj niewinnie brzmiące.

Niezależnie jednak od tych kilkunastu obrazów i przykładów książka była całym wykładem politycznym, całym *programem* na ówczesne czasy. Na wielu stronicach tej książki nie było ani słowa o Janie Zamoyskim, ale na każdej po kilkakroć przypomniane były niedawne klęski Rzeczypospolitej, a przede wszystkim rozbiór pierwszy — ten z 1772 roku — podkreślana słabość Polski wobec państw ościennych i możliwość ponownych klęsk i ponownych rozbiorów. Jak wiemy, Polacy lubią na ogół tylko tych publicystów którzy pokwékawszy dochodzą do wniosku, że jednak to Polska ma rację, że byłoby to zatem niesłychanym pogwałceniem wszelkich praw bożych i ludzkich żeby Polsce stała się krzywda, a że przecież skoro jest Bóg na świecie i sumienie u ludzi a zatem ostatecznie... jakoś to będzie. To, że dzieje świata są jednym pasmem sprzeniewierzeń i łajdactw o tym Polacy z XVIII wieku nie uświadamiali sobie tak samo jak nie uświadamia sobie tego iluż współczesnych nam a najzacniejszych skądinąd rodaków — i marni publicyści owych czasów naginali się do tych współczesnych jak nasi naginają się do swoich. Na to wszystko spadała naraz książka która roztaczała nie tylko czarny obraz niedawnej przeszłości przypominając to, o czym tak chciano zapomnieć, ale jeszcze sytuacja obecna i przyszłe nieszczęścia. Kiedy jedni byli rozradowani, że Rosjanie biją się z Turkami, a Prusy kłócą się z Austrią, czarnowidz autor nie przywiązywał do tego większej wagi. Cóż z tych chwilowych kłopotów sąsiadów Polski jeśli sama Polska jest dalej bezsilna, słaba i bezładna? Czy długo można stać kłopotami innych?

Kłopoty innych można co najwyżej wyzyskać dla wprowadzenia u siebie potrzebnych zmian. Jakież one są? Znowu autor narażał się opinii. Pochwalał funkcjonujący od kilkunastu lat system wychowania publicznego, sprawowanego przez państwo, poprzez Komisje Edukacji Narodowej. Dziś uczeń polski, który o tej instytucji piśnie złe słowo oberwie pałą od belfra: ale wtedy, w 18 wieku, było jeszcze inaczej. Pamiętano jeszcze, że w poprzednim pokoleniu wychowanie było w wyłącznym władaniu Kościoła, przede wszystkim Jezuitów, Pijarów, Bazylianów. Prawda, jezuitów skasował sam papież — ale czyż i sam ten papież, i ci co tworzyli w Polsce świeckie szkolnictwo na jezuickich gruzach, nie byli nasiąkli zgubnymi wpływami z Francji? Bardzo wielka część społeczeństwa polskiego była tego zdania kiedy chodziło o ów krok papieski — a już jeśli chodziło o twórców tego świeckiego szkolnictwa, z samym królem na czele, to tych miała wręcz za „farmazonów” i bezbożników, zresztą nie bez racji. Dzieło Komisji Edukacyjnej nie było, jednym słowem, tak sławione za jej istnienia jak po jej, wraz z Polską, upadku, a oto naraz niepodpisany autor stawiał jej szkolnictwo jako świetne. Mniejsza o Komisję Edukacyjną. Wręcz niepopularną instytucją była wtedy Rada Nieustająca. Wielogłowe to ciało, wybierane przez Senat i Izbę Poselską, podzielone na departamenty, było w owych czasach czymś znacznie bardziej niepopularnym. Składało się na to cały szereg bardzo różnych przyczyn. Patrioci — słowo to poczynało powoli wchodzić w życie — widzieli w jej instytucjach zbyt wielu rosyjskich popleczników, zwolennicy „dawnych dobrych czasów” uważali, że „mieszanie się” do wojska, czy skarbu, czy w ogóle innych spraw, takiej Komisji jest czymś niezwykle zdrożnym. Armia powinna podlegać, jak to się dotąd działo, samemu hetmanowi (to jest być jego prywatnym wojskiem), skarb podskarbiemu (który nikomu nie był winien rachunków) itd. Zarzuty w stosunku do Rady Nieustającej były więc czasem słuszne, czasem wsteczne, dość, że nienawidzono jej powszechnie. A tu anonimowy autor stwierdzał, że od jej powstania Polska przecież nareszcie posiada coś co jest *rzędem*; Polska nierządem nie stoi.

Autor atakował jak najostrzej zasadę, że uchwały sejmowe muszą zapadać jednomyślnie, że jeden poseł może zerwać sejm. Dowodził, że dzięki temu właśnie w Polsce niczego nie można dokonać, niczego zmienić.

Autor atakował „wolną elekcję” królów dowodząc znowu, że daje ona nieobliczone możliwości ościennym państwom mieszać się w sprawę wewnętrzne Rzeczypospolitej. Argument był zręczny, bo to mieszanie się, wkroczenia wojsk, zabory i grabieże dokuczyły już do cna wszystkim. Autor dowodził, że chlubiąc się swymi wolnościami Polska nie jest jednak naprawdę rzeczpospolitą, skoro tylko część jej obywateli z tych swobód korzysta — i żądał praw dla miast. Jeśli jednak Polska nie ma zniknąć, musi tylko zreformować swe prawa, sejm swój sposób głosowania, rząd się wzmocnić; musi urosnąć wojsko. Wojsko czym może urosnąć? Podatki? Czym są w Polsce podatki? Na 12 milionów złotych 9 płacą chłopci, niespełna jeden ziemiaństwo szlacheckie. I autor proponował reformy podatkowe które były ni mniej ni więcej tylko odwróceniem tego stosunku. Autor wskazywał, że podatki mają być pomnożone, że mogą być pomnożone, że powinni je płacić przede wszystkim ci co nie płacili ich dotąd, i że dopiero z pomnożeniem tych podatków będzie możliwym utrzymanie prawdziwej, potężnej armii. Autor, co więcej, uderzał, jakby to dziś powiedziano, w armię. Wskazywał — był to rok 1785 — że dawna struktura armii polskiej oparta na pospolitym ruszeniu szlacheckim, na samej jeździe, jest przestarzałym anachronizmem; że dziś — (1785 r.) — armia opiera się na sztuce wojennej, na pieniądzu, na przemyśle, a tego nie da inny kraj jak bogaty, posiadający kwitnące miasta, wyposażony w ludne, nieprzygłuszone pańszczyzną, nie uciekające pod inne zabory, wsie, i że na to wszystko trzeba jeszcze raz pieniędzy. Jeśli już nie chcemy pomnożyć podatków i należycie je rozłożyć, — dowodził z rozpaczą — to lepiej skasujmy tę armię która obecnie jest tylko wydatkiem a do obrony nie służy wcale. I cytował tragiczne dane; na jednego oficera przypadało w owych dobrych czasach u nas aż... trzech szeregowych. Tak, tak, samym Sobieskim i wspomnieniami Grunwaldów żyć w współczesnym świecie nie można.

d. c. n.

MARIA PAWLIKOWSKA

WIERSZE

I.

Na niebie rude żagwie —
Na wodzie złote żagle —
Gwiazda w zenicie.

W oknie — postać samotna
Którą smutek omotał...
Szłocha — widzicie?

Znikły żagwie rozwiane,
Zeszły żagle rumiane
Z falistej niwy.

Ty, coś w oknie zakrzepła,
Miej trochę dumy — nie płacz
W Czasie Wzgardliwym!

II.

Spadła gwiazda przez niebo,
Z rezygnacją swą niemą,
W przebiegu krzywym...

Wśród innych gwiazd powodzi
Nie płacze, nie dochodzi
Niebiańskiej krzywdy.

Możesz się od niej uczyć,
Gdy bez buntów i uczu
W smudze dogasa —

Gdyż niema w świecie miejsca
Dla płaczącego serca,
Tego parjasa...

PISANE WE MGLE

rzuć się judaszowy flecisto
 głębinową miną
 o czarne dno ulicy
 i pusto zabrząknij
 na twardych hełmach bruku

myśmy już dopłynęli
 do bezbrzeżnej przystani
 w zatoce bujnych wodorostów

latarnie błakają się
 po krawędziach zatopionych ulic
 i moja ojczyzna-polszczyzna
 zamurowana w łodzi podwodnej
 milczy
 w komorze gazowej
 w zdławionym żargonie cierpienia

czemu nie wołałeś ratunku
 gdy okręt zstępował na dno
 kiedy rozhuśtane łodzie
 biły o pyski fal
 i w luksusowe kabiny
 szturmem wlewała się otchłań
 — haniebny triumf wyleniałych

[lewiatanów
 wyszczerzonych na burze polarne

padnij wisielczy psalmisto
 pod tramwaj przydrożny
 w którego szkielecie
 struchlała wichura
 rozgłębiła się
 męczeńskim oratorium
 derwidowych mszy
 na dnie zielonego morza
 na piaszczystych rozstajach
 gdzie malowanego świątka
 żywcem wbijano na kół

cień za cieniem
 twarze zegarowe, oczy na sprężynach
 idziemy jeden za drugim
 w bezgłowie zielonej mgły
 — idziemy pod prąd

kto wie — komu w drogę
 nie czas
 — szyldy, tarcze fryzjerskie
 mijają nas w pływających
 [skorupach przedmieść

czerepy wiosek
 zaplątane w rzęsy elektrostacyj-
 [nych ślimaków

sklepy jarmarczne,
 garnki z glinianej polewy

nie dla nas
 zdzieciniałych cieni
 grzeczne zabawki
 którymi się bawić by można
 w chowanego
 w prochowej kostnicy

lekarze na prawo
 aptekarze na lewo
 rzeźnicy pośrodku
 złodzieje jezdnią
 zegarmistrze na dachu
 ci z wędliną do domu
 ci z bułkami za nami
 panienka pod drzewem
 dziedzic na gałęzi
 psy na uwięzi
 ostrobramcom na wspak
 natomiast państwo niech wezmą
 [ze sobą

do gabinetu
 psi róg dentystycznej obfitości
 i choinkowy byk
 niech się zgłosi

w prezydium rady ministrów
 o czwartej
 o czwartej — proszę nie zapomnieć

a ja stoję
 i nie wiem kogo mam wybrać
 na cichociemnych wyborach
 u ślepowronnych kolejarzy

osiółkowi w żłobie dano
 w jednym republikę wenecką
 a w drugim
 szatańską chwałę namiestników
 [galilejskich

nie wybrałem uzdeczki
 nie wybrałem szczołeczki
 ani czapki niewidki spod strzech

niech do wyborów
 nie zmusza mnie nikt
 ja nie chcę nikogo mianować
 i nie chcę wybierać granatnich jaj
 z gniazd karabinów maszynowych
 w kukułczych kurnikach gniewu
 ludzi obcych

ja już tylko zastępuję
 człowieka,
 który się wczoraj roztopił
 w glicerynowej mgle

został mi po nim
żwawy, pulchniutki pierścionek
i złota fotografia
rajskiego przebytu
za granicą dobra i zła
pamięć
by można jeszcze
żywotować perliście

we mgłę podmorskiej
w koralach niebezpiecznych
wśród zamarłych rykowisk
spłaszczonych fład i dręt

moje słowa są głodne
pragną ziemi i chleba
przecież nie można listownie
przez czerwony krzyż
uratować języka
mrącego w pustynnej głuchocie

z odciętej gałęzi trudno ssać
[żywiczne mleko]

na cudzych śmietnikach
zbierane zabłąkane cząsteczki
rozbitych wyrazów
może się coś skleić
kukłę odpustową ulepić
lecz mowa drętwieje
cisza skafandryczna
zegarowa meduza
głowę pełną jodynowej soli kołysze
do snu
a ryby bezszelestnie
przepływają po szybie szklanych
[powidoków]

dźwięki już dawno zgasły
dalekie światła błędna
w matowych lustrach
chandry
latarnie milczą
w uszach kolczastych muszel
w zapomnianych labiryntach
[bursztynu]

a kiedyś,
jeszcze niedawno
kasprowiczanie tańcowali mi
[hucznie]
na słonecznikowym pijaństwie
i żeromsko pachniała czerstwa
[mowa ludu]

na ścianach domów cudzych
wędrowni pajperzy
kolorowe składali mozaiki
w geometrycznym olśnieniu

we mnie dźwięczały słowa
z pańską i po chłopku
językiem wieszczów i wieszym
jedwabnym dialektem
przemysłowców i kurw

przeze mnie sączyła się mowa
[piastowa]

pasiek rozłożystych
i zawodzenia siermiężnych
[pastuszków]
na wełnianych, góralskich polanach
daleko jestem od puszc
świerk masztowy
wbity w miękkie rozkołysany ocean
— jedzą mnie morskie pchły
i gniją w wilgoci jurnych słońc

żywica mowy mojej
ścieka na mewie bursztyny
którymi kiedyś handlowali
praszczurowie moi
z bałtyckich żeremi

ze słowników słowiańskich
zlizuję sztuczny miód liter

w ciszy woskowych żeglarzy
nie słyszę syrenich słów
— głuchną jak ślepy dzwon

kiedy się znowu pęki mowy
w maju bajecznie rozwieśnią
gdy dziatwa zielona
wypełnie ptactwu gwarnemu
[naprzeciw]

kiedy żacy
z ziarnami świeżych słów w
[ubogich garnuszkach]
wbiegną na wandzie kopce
umajone śpiewem
i drzewni gopłanie
wplyną na kraków w wyprężonym
[czólnie]

białą plamą zagielną
na witrażu wiatrów

— i ja przyjdę
z duszą skrzypiec diabelskich
przegranych w karty za rzym
po twardowsku
z językiem sztucznym
koralowej masy
z poezją
wydartą przemocą
podmorskiej ciszy rozbitków
rozkołysanych we mgłę.



ZYGMUNT HAUPT

W PARYŻU I W ARKADII

W wewnętrznej kieszeni marynarki, w przedziale zniszczonego portfela, złożony we czworo, przechowywałem czek który dostałem od Elektry, czek opiewający na pięćset franków, wystawiony na Bank Westminsterski. Czek ten od częstego oglądania i upewniania się był wymięty, rożki papieru zaokrągliły się, pożółkły, ale miał swoją pełną wartość. Czasami chodziłem na Place Vendôme, gdzie był oddział Banku Westminsterskiego i upewniałem się, że grube solidne mury banku stoją nienaruszone, z satysfakcją konstatowałem identyczność instytucji na jej potężnych tablicach z polerowanego brązu.

Kiedy zdarzało mi się że nie miałem pieniędzy, na stole stały puste i niemyte butelki z mleka (w ciągu dwu dni muchy złożyły w nich niewidoczne jajeczka i teraz wyległy się z nich malutkie gąsieniczki, wypasione na resztkach tego mleka i pelzały po mętnej ścianie nacznia) i kiedy było dojmująco bolesne wałęsanie się wzdłuż ulic z wystawionymi i odkrytymi na świat boży wiktuałami, warzywami, kotletami i chińską torturą wystaw „patisserie” to wtedy odbywały się u mnie na gorze fetyszystyczne kontemplacje czeku na Bank Westminsterski.

Ten czek był dla mnie magicznym paszportem, firmanem na powrót, był dla mnie także patentem na fiasko życiowe, na rezygnację z podboju świata, jeżeli już zagubiam się w barokowych porównaniach, ten czek...

Albo przesiadywałem w Jardin de Plantes i wtedy cienie platanów leżały naokoło mnie, po żwirze skrzypiały podeszwy prowincjuszy zmęczonych Paryżem i upałem i czekających na porę „dejeuner”, a za siatką ogrodzenia czochrała się o zakurzone drzewko wyleniała antylopa gnu i zaferowane złotopióre i czerwonopióre i koloru indygo kaczki przetaczały się na swych kulawych nogach i delikatne, różowe flamingi szcudłowały poważnie po płytkiej wodzie stawów ogrodowych. Z tyłu poza mną były mury antropologicznego muzeum, gdzie dziesiątki tysięcy złotych i poznaczonych numerami czaszek ludzkich leżały uszeregowane na półkach w monotony desień jak w katakombach Kapucynów w Neapolu. W powietrzu wydawało się, że unosi się cieniutki i daleki zapach starych beczek z Hal Wina.

Albo zdenerwowany miastem chodziłem po rampie biegnącej od Louvru do szarego budynku La Salle de Jeu de Pommes, rampie w powszedni dzień pustej, a w niedzielę zaludnionej grupkami Polaków paryskich, którzy tu, jak w Polsce, przed nabożeństwem w pobliskim kościele przy Rue Faubourg St. Honoré, tak jak w Polsce na cmentarzu wiejskiego kościoła stali grupkami rajcując, w swych niedzielnych ubraniach, niedzielnemu towarzyskiemu spotkaniu wierni gadulstwem i sentymentem. Ale w powszedni dzień było pusto, zabuczał czasem głęboko zanurzony holownik i łamał komin dymiący pod arkadami mostów.

Albo jak dojechałem metrem do Port d'Orlean i poszedłem trochę dalej, to tu Paryż ucinął się jak nożem, „Octrois de Paris” i zaraz było miasto wybudowane ze skrzynek z pomarańczy, puszek blaszanych, szmat i łachów, bez ulic, kanalizacji, światła, ziemia niczyja, Szanghaj, Marakesh brudu, China Town egzotyki, no mans land między bogactwem a resztą świata.

Albo przygnębiony obcością i nudą szedłem tam gdzie Instytut Słowiański przy Rue Michelet, gdzie można było poczytać starego Ikaca a w nim proces Gorgonowej, albo dyskusja z Ukraińcem ze Lwowa o zapadłych z głodu policzkach i z sarkastycznym uśmiechem zapewniającym mnie: „...a wasz problem, milionów Polaków w Zachodniej Ukrainie? Nie ma tego problemu! Wyrzniemy!...” i pożyczył 70 centimów na metro.

Albo wracałem do siebie i jeszcze przedtem wstępowałem na „bock” wina do małego bistra przy Rue Cujas, które było miejscem spotkania południowych Amerykanów, Ibero-Amerykanów, młodych ludzi, z których każdy miał coś na sumieniu w swojej republice, każdy nosił w tylnych kieszeni od spodni rewolwer i każdy miał czarne włosy wypomadowane „gominą”. Właściciel, w fartuchu barmana, wielki i otyły, z zakaszanymi rękawami koszuli, poruszał się, pomimo tuszy jak kot, w ogrodzeniu za barem, wysypanym trocinami i błyskawicznie nalewał kolorowe Pernods i Quinquina i równocześnie uważał na wyniki wyścigów wyszeleszczające się z automatu, odpowiadał na uwagi pomimo gwaru i przygluszającego wszystko „Cojones” i „Hombre”. Pożyczył także na krótki termin, kiedy pieniądze się skończyły.

Albo szedłem wzdłuż Bulwarów, mimo szyb wystawowych w gęstym, wieczornym tłumie, ocierając się o stoliki kawiarni, zalegające chodnik, przystawałem przed wystawami jubilerskimi, firmy ekskluzywne i o dziwacznych nazwach jak na przykład „KEPTA” a kepta u nas to były chwasty, zielenina, którą żęła zakrzywionym sierpem do zgrzebnej płachty o porannej lub wieczornej rosie, chłopka, ażeby zadać jeszcze paszy niecierpliwiej przy udoju krowie, a kepta tu to szkło i niklowana rama jubilerskiej wystawy z kolia brylantową i dwoma sznurami pereł na blade-niebieskim aksamicie.

Albo patrzyłem i przepychałem się wśród tłumu na kiermaszu dorocznym koło Saint Sulpice albo przed Inwalidami, namioty i kramy, koła szczęścia i budy w których strzelało się do glinianych fajek, albo łowiło na wędkę budzik lub flaszkę „Mousseux”, albo tam gdzie więcej gapiów a ktoś trafiał w tarczę zawieszoną nad łóżkiem, gdzie w różowym dezabilu pod kołdrą leżała kobieta i był napis: Ne laissez pas la belle dormir... i ryczały i zagłuszały potoki muzyki jazzowej i harmonia z głośników. I tam widziałem jak jakiś mały, wymięty i pomadowany jegomość został przytrzymany za klapy i zbity po pysku, zanim jeszcze zawołano policjanta, za to że w ścisku, koło jakiegoś koła szczęścia, kiedy rodzice się zagapili, skorzystał ze mała dziewczynka,... ale właściwie sam nie wiem co to było.

Albo jak wsiałem koło Gare de Lyon do metra. Zatrzasnęły się targnięty drzwi wagonów i pociąg potoczył się tunelami. Obok mnie na ławce siedziała młoda para. Pod pomarańczowe światła lamp, oglądali, objęci, negatywy jakichś filmów, pewnie zakłęte w emulsji, przebyte chwile amatorskiego szczęścia. Wzniesione ich oczy jak zamodlone w przebytych czasie, czytały z czarno przezroczytych plam to co było.

Wysiadłem koło Chatelet i szedłem wzdłuż quais prawego brzegu Sekwany. Sąsiadują tam ze sobą nieprzeliczone sklepy i zoa z klatkami i paczkami pożywienia dla wszelakich kanarków i papug. Zadumani ornitolodzy i fantassin z przewieszoną przez ramię musette kontemplują wystawione na słońce i w klatkach, jak w średniowiecznych pęgierzach egzotyczne okazy bażantów, papug i szczygłów.

W kurzu trotuarów bawiły się beztroskie i nierasowe szczenięta.

Paryż był spokojny.

* * *

„Patron” bywał kapryśny albo miał jakieś swoje polityki finansowe bo czasem odmawiał i wtedy wracałem do siebie na górę, unikając wzroku konsjerżki, kiedy ta ze swej łoży odpowiadała na moje bon soir, „M’sieu!?”

U siebie na górze odnajdywałem się w moim samotnym świetle krzywych ścian mansardy z odklejającym się papierem tapety, wodą sączącą się z nieszczelnego kurka umywalni i podłogą dziwnie pochyłą, z przezierającymi spod wytartego linoleum czerwonymi, kamionkowymi kafłami posadzki. Okno otwierało się na wąską szycję ulicy i z dziwnym zapachem paryskim, mieszaniną rozartanej na asfalcie gumy i wina dobiegała tu melodia akordeonu i głosy pijących w małym bistrze.

Po nocy, lunatyczny krajobraz dachów, z monotonią skorup i rur kominów, szczytami i graniami dachów nabijał się ostrymi punktami dalekich latarni ulicznych i pomarańczowymi prostokątami okien.

Słuchałem dzwońców zegarowych kościoła St. Etienne du Mont jak toczyły w przestrzeń szklane kaskady i dzwonienia, bijąc kwadrans i godziny. Wydzwaniały kuranty i trele i wdźwiewały się łańcuchem potępięcym do mojej mansardy i odbijały się od krzywych ścian i spiżowymi obcęgami obejmowały moje skronie. Zaciskałem oczy i wtedy nawiedzały mnie i przychodziły z wałęsanin wśród ulic zapamiętałe reklamy i reklamy, laseczniki zbiegłe ze ścian i murów i pełzające po mym mózgu...

... AU PRINTEMPS... PNEUX MICHELIN... DÉFENSE EXPRESS DE CRACHER... PARC DE PRINCE... SALON... VU... LU... NORD-SUD... CA VAS BIEN!... LIBERTÉ, EGALITÉ, FRATERNITÉ... MEX-SHELL... MEUBLES CHARPENTIER... VICHY CELESTINS... DUBO DUBON DUBONNET... VIZITEZ COTE D’AZURE... GRAND ... PHARMACIE... CRÉDIT LYONNAIS... GALA DE BIENFAISANCE ... DÉFENSE D’AFFICHER LOIS DE 29 DECEMBER 1882... PENSION DE FAMILLE... CIRQUE D’HIVER... FLEURS... CHEMINS DE FER D’ETAT... LIQUEURS COINTREAU... L’ENSEIGNEMENT AUX DRAPEAUX... PATOU... 100.000 CHEMISES... L’AUBE... BOUCHERIE CHEVALINE... FIRESTONE... GOOD YEAR... SOCIÉTÉ LAITERIE MAGGI... CITOYENS!... PIRELLI... BAR AMERICAIN... L’INTRANSIGEANT... LA COUPOLE... DÉFENSE DE FUMER (MEME GITANES)... ROND POINT DE CHAMPS ELYSÉES ... MÉTRO CADET...COTY... LUMIÈRES JACOPOZZI... PARIS-LYON-MEDITERRANÉE... BOULEVARD ARAGO... CLOTURE ANNUELLE... LA BELLE JARDINIÈRE. SIX JOURS SIX JOURS... CA BON BANANIA... MUTUALITÉ... AIR FRANCAIS... VIEUX COLOMBIER... CHOCOLAT MEUNIER... BIÈRE DE LA COMÈTE ... AVIS AUX CITOYENS!... BAINS-DOUCHES... SI GIT GUY... YSSAC DUC DE LA... CHEFOUCAULT (zatartymi blokami na marmurze nagrobka na cmentarzu Montparnasse) A BAS LES CURES (ołówkiem na ścianie pisuaru)... LA SALLE DES PAS PERDUS... GAULOIS JAUNES i CAPORAL BLEU... ROD LA ROQUE AU POTEAU!!! VINS-CHARBON... PAVILLON MARCAN... QUINQUINA... PERNOD FILS... BANANIA... ODOL... ODOL... SAMARITAINE... XVII ARRONDISSEMENT... ARMÉE DU SALUT... TINO ROSSI ... N’URINEZ PAS AU LONG DE CE MUR S.V.P.... TOUS EST BON

CHEZ DUPONT... VAUCLOIS... SUZY... ANTANT... BRICABRAC
... CHOUX... PONT... S'IL... BRES... ACY... AUX... I KEPTA...KEPTA
... co to jest kepta?

Ale litery reklam idą, szeregują się, zaostwiają w ostrza jak ostrza bagnetów, falują jak ostrza bagnetów niesionych przez piechotę...

Kiedy dzwony zegarowe milkły to można było słyszeć nikły i szklany chlupot wody uciekającej z nieszczelnego kurka wodociągu, jak bulgot fontanny w ogrodach Persji, szklany i cienki.

Więc kiedy nie mogłem zasnąć, to pomagałem sobie, przypominając jak to szła piechota i wspomnienie i daleko... i w końcu nad ranem zasypiałem...

* * *

Szła kolumna piechoty drogą, w kurzu i spiekocie i gorącu lata. Ludzie powynosili wiadra z wodą i stawiali je przy drodze i idący żołnierze czerpali z nich albo po prostu taki piechur pił wprost z wiadra, i widać było jak mu gardło chodzi przy tym łykaniu i pała czerwona od upału skóra twarzy i pot cieknie brudnymi strużkami za kołnierz przepoczonego i szarego od kurzu munduru.

Jak kiedy szło wojsko drogą to nie tylko my dzieci, ale dorośli wychodzili i biegli i patrzyli, pomimo lat wojny która się ciągnęła i pomimo wielu wojsk i orszaków wojennych ze wszystkich stron świata które ciągnęły przez nasze strony, pomimo tego zawsze lecieliśmy do tego i patrzyliśmy, pewnie to było ucieczką od nudy monotonii zwykłego dnia, albo myśleli ludzie, że kolumny wojsk z kurzem drogi co kładł się na parkanach, liściach drzew i łopuchach, z kurzawą wojenną co rdzawą sreżogą zawlekała słońce, przyjdzie jakieś nowe i niespodziewane życie i dlatego szli i biegli do drogi i patrzyli.

Więc szła kolumna piechoty, nie w krok, rozciągnięta, żołnierze ciężkim, powłóczyстым krokiem, kulejącym, że zbieranym ekwipunkiem, czapki zsunięte na tył głowy, czasem niektórzy miał francuski helm. Widać było między nimi paru ukraińskich jeńców zakurzonych także i obdartych, dzwigających na ramieniu ręczny karabin maszynowy albo skrzynki z amunicją.

Rosyjska piechota szła ciężką falą, w rozmieszanej od deszczów, szarej mazi bitego gościńca, przemieszane trójki żołnierzy, w rdzawych, długich szynelach, koc zwinięty w walek i spięty rzemieniem lub drutem w literę O i przełożony przez ramię, z uczepionym kociołkiem menażką z czerwonej i pogiętej miedzianej blachy, pobielonej wewnątrz białym metalem, mieli poza tym torby i nieśli części namiotów-„pałatek” ze składanymi na części palikami namiotowymi i te części ekwipunku sterczały im ponad ramieniem i niesione pochyło na ramieniu karabiny, płot, las karabinów, „rużja” z trójgraniastymi żądlami bagnetów, bagnety, bagnety, nasadzone tulejką na lufy karabinów, niektóre odwrotnie tak że ostrze było przy łożu broni skierowane do zamka. Szli i szli, patrzyli w tym marszu bez ciekawości i zmęczeni na ludzi i domy i mijali żeby tu już nigdy potem nie być pod spojrzaniem ludzi, i za rotą nowa rota i nowa.

Za piechotą ciągnęły treny, dwukołowe wozy z budami, przepisowe wozy wojskowe, ale z tymi przemieszane zarekwirowane wozy i „forszpany” z całego świata, od wysokich i dziwnych dla naszego oka tarantasów z Wielkorosji z malowanymi w kwiaty skrzynkami wąsogu i koniem w hołoblach i z krzywą dugą i drugim koniem na przyprzączkę, uprząż końska z żółtej skóry z surowca i wiązana w węzły i „izwoszczyk” w stromej furażce na głowie i kolorowej, przepasanej pasem rubasze z barchanu, albo też już nasze znajome wozy z sąsiedniego powiatu i spiczaste kłęby chudych koni w tragicznym i bolesnym patetycznym zaparciu się w szleje, kiedy ciągną skrzypiące od ciężaru półkoszki z cudzym wojennym mieniem na zachód i na zachód.

A zatem znów piechota, i las pochyły bagnatów pod szarym niebem jesiennym i maź rozartanego sztru gościńca rozlewająca się w rowy, lepiąca do butów i walonek i powoli obracających się obręcz i szprych kół.

A niemiecka piechota to znów szła na wschód w lecie, upale, ludzkie postaci obładowane ekwipunkiem, karabin mauzer uwieszony z przodu na szyi i przytrzymywany jedną ręką i buty krótkie, koziaki, o szwie z boku, mundury brudnoszarego koloru, workowate, bawarskie pułki z koroną na oksydowanych na oliwkowy kolor guzikach, pasy ciężko obładowane amunicją w ładownicach, wiszące na hakach wszytych pod pachami w mundur i łopatki z jednej strony nazebione w piłę i spięte rzemieniem razem z bagnetem i pasy zapięte na klamrę, na której był w kole wytłoczony napis w metalu „Gott mit uns”, patetyczny i ubliżający Bogu napis. I hełmy o ciężkim okapie, hełmy jak u lancknechtów na miedziorytach Dürera.

Kompania zatrzymała się i mieli odpoczynek. Walili się w rowie, w zakurzonej trawie przy drodze. Niektórzy z niemieckim upodobaniem do ekshibicjonizmu rozpinali i zdejmowali kurtki i koszule i ukazywali ciało niemieckie białe i różowe. Jeden młody chłopak o krótkich, przystrzyżonych włosach i białych rzęsach miał purpurowe pręgi od pasów tornistra. Staliśmy u furtki domu i powiedziałem chępliwie do matki: „Mamo, ja będę także żołnierzem jak dorosłe!” na co ten Niemiec, który może zrozumiął a może wyczuł z intonacji, zaprostestował niecierpliwie i zgorzony: „Ne! Nel” i to miało być potem anegdotą rodzinną jak to ja chciałem być żołnierzem i jak to ten Niemiec obłudnie protestował.

Więc czy szła ta piechota „wojennym szagom” czy niemiecka uparcie, tośmy szli do drogi i patrzyli. Płoty domów już dawno znikły, rozebrane i rozniezione przez koczące oddziały i zatary się granice posiadłości ludzkich, i ludzie patrzyli martwo na przeciągające wojska ale patrzyli bez entuzjazmu ale i bez nienawiści pierwszych dni kiedy byli nawet zdolni do przekleństwa:... „ażeby cię pierwsza kula nie minęła...”

Na końcu tedy szła własna piechota, w czasie tej własnej wojny domowej i nie było już nawet mieszczańskiego entuzjazmu dla posrebrzonego ptaszka siedzącego na barokowym kartuszu czy jak inni chcą na klasycznym obuchu rzymskiego topora. A my, jak to dzieci znajdowaliśmy nowy rodzaj uciechy i uciezki od monotonii małomiasteczkowej nudy.

Jeszcze w nocy i rano przynieśli tę wojnę domową. W nocy siedzieliśmy na schodach ganku i rechotały zaby w stawie i w to rechotanie wmieszały się serie z karabinu maszynowego. Długa seria i potem szedł długi szum-echo ścianami lasów i potem znów stakkato serii i szum echa po lasach. Potem huk wystrzału armatniego i daleka eksplozja, i znów wystrzał i znowu... Liczyliśmy te wystrzały i w ciągu nocy naliczyliśmy ich 51. To była biedna ta wojna domowa i nie było wiele amunicji do marnowania. Strzelala jedyna ukraińska haubica Skody, ustawiona koło stacji kolejowej, strzelali granato-szrapnelem, który był wynalazkiem austriackiego generała artylerii Rozwadowskiego (potem kiedy dorosłem i byłem wreszcie sam żołnierzem, nasz instruktor porucznik Kopacz, z uznaniem mówił o tym wynalazku; „...bardzo demoralizujący, naprzód lotkami po krzyżach i granatem pod...” ale szkody to niewiele zrobi...” —)

Mój ojciec zapiął na marynarce pas, na którym był uwieszony ciężki austriacki Sztajer który przywiózł mu ktoś z włoskiego frontu i jeszcze przed świtaniem entuzjastycznie poprowadził ogrodami tyralierę pokazując drogę do stacji skąd strzelała ta Skoda. Matka miała migrenę z niepokoju o niego ale my dzieci entuzjasmowaliśmy się przemarszem piechoty.

Na żelaznych sztachetach, pod figurą Świętego Rocha przed kościołem (Św. Roch został tam postawiony po epidemii czarnej ospy i musiało to być dawno bo święty był sam jak po ospie od deszczów i słót i pies kamienny lizał kolana świętego), otóż na tych żelaznych sztachetach, zahaczony pod pachy o groty i miał zdarte strzępy kszuli i spodnie ściągnięte

do łądźwi i wisiał tam od przedwczoraj rozstrzelany trup szpiega. O czym informował kawałek tektury z kartonowego pudełka uwieszony na piersi i było na nim wypisane cyrylicą: „Szpion”. Ta wypięta pierś, ukazująca żebra jak pierś Chrystusa w Pąsji miała kilka czarnych i zaschniętych dziur, przestrzeliń i u nich zbierały się muchy takome i zielonkawce.

Wspominam tu o tym jak patetyczne i drastyczne epizody wojny przepłatają się z nudą i idyllą miasteczka.

Czytałem w ogrodzie pod bzami „Przygody Hucka” Marka Twaina którą to obiecaną książkę przyniósł mi Radca Vogler. (Radca Vogler stołował się u nas dlatego, że przychodziła do nas panna Janka Cholodecka, i musiałem mu obiecać że nie będziemy z Elektrą siedząc na gąłęziach jabłoni wołać bez sensu kiedy się ona pojawi „Panna Janka Cholodecka w majtałasach!” o co ona zresztą się nie obrażała).

I znów wybiegałem na drogę patrzeć na wojsko. Na placu koło drogi rozłożyła się kompania. Jeden stał oparty o mur i grał coś bardzo skoczno na ustnej harmonii a dwu innych, na przekór zmęczeniu, jeszcze obładowani ekwipunkiem i tupiąc ciężko butami imitowało jakiś taniec, co miało być prawdopodobnie czymś bardzo ironicznym i przedrzeźnieniem zachowatości samej. Kilku nabijało na specjalnej maszynie taśmy do karabinu maszynowego. Jeden przysiadł się do leżącego na trawie ukraińskiego jeńca i przeprowadzał z nim bardzo jednostronną transakcję. Wyjął z kieszeni metalowe pudełko na tytoń, tak zwaną „tiutiunierkę” i kazał jeńcowi pokazać jego własną. Pudełko jeńca podobne w kształcie i trywialnej taniźnie było o jakiś ułamek lepszym wyrobem, nawet na wieczku, zamykającym się z trzaskiem był wyobrażony konterfekt dziewczyny jak malowanie, z rumieńcami i powłóczystym spojrzeniem. Nastąpiła przymusowa zamiana i było to czymś tak logicznym i naturalnym i oczywistym, że w oczach jeńca nie widziałem jakiegokolwiek żalu.

* * *

Mój ojciec codziennie w czasie tej wojny chodził do banku i chociaż nie było tam nic do roboty przesiadywał tam swoje urzędowe godziny, za jego plecami stała do połowy otwarta kasa ogniotrwała, ostentacyjnie ukazująca pustkę swego wnętrza, malowanego na szary kolor, podczas gdy zewnątrz zdobiła ją powłoka farby pociągniętej tak ażeby wydawało się, że jest z mahoni. A po powrocie do domu w dalszym ciągu był pełen marzeń których nie mąciło iście Rowlandsonowskie wnętrze jedyne mieszkalnego pokoju z dziećmi, utensyliami rodzinnego życia i piecem kaflowym, napalonym do niemożliwości. Mój ojciec stawał oparty o kafle tego pieca, przypiekające mu łopatki i patrzył przez okno na krótkie horyzonty zimowych zachodów słońc.

A teraz miał swój dzień. Wrócił z porannej wyprawy na stację kolejową, gdzie zabrali do niewoli haubicę Skody i miał przewieszoną przez ramię austriackiego Mannlichera i wzięwszy mnie i Elektrę za rękę preparadował przez miasto i był dzień i słońce i wszyscy nas widzieli i na pasie zapiętym na marynarce dyndał mu się ciężki Sztajer.

W ogrodzie koło naszego domu ukrywał się między krzakami malinowymi ksiądz Czmoła. Wielki był ten Czmoła, był grekokatolickim popem i przyjacielem mego ojca, głównie dlatego, że ojciec miał zadawniony spór z infułatem Kunaszowskim i od wielu lat nie znali się i nie kłaniali się sobie i kiedy urodziłem się i zaraz po urodzeniu, wskutek niezdarności miasteczkowej akuszerki, która mnie pierwsza uderzyła po tyłku, byłem „in articulo mortis” ojciec wezwał tego księdza Wasyla Czmołę ażeby mnie ochrzcił i stąd ta nasza zażyłość.

Ksiądz Czmoła był, należał do tak zwanych Starorusinów którzy znów byli zazartymi wrogami nacjonalistów galicyjskich, czy jak inni chcieli Zachodniej Ukrainy, Piemontu ukraińskiego. Pomimo potężnej postury i byczego karku, ksiądz Czmoła pełen był jakichś trwóg i lęków.

Jak przechodziła jakaś piechota to wywlekany przez trwogę ukrywał się w naszym ogrodzie, jak gdyby on sam był odpowiedzialny za pyromaniaka demiurga który świat podpalał. Wielki i barczysty i czerwony na twarzy, w swej wyświeconej sutannie, której dziurki od małych guziczków na brzuchu były wytarte do białych nici, zasapany i z herostratesowskim błyskiem winy i trwogi w oczach, głośnym szeptem mówił mi ażebym uprzedził matkę i sam cofał się w cienie nocy. I napętniał mnie trwogą i robił mnie współwinnym za to, że szarym gościńcem sunęły kompanie i bataliony rozmaitych wojsk, od austriackich pułków landszturmu z tornistrami pokrytymi cielęcą skórą, od utaplanych w błocie, długich szyneli i cienkich papach bawełnianych karakułów, syberyjskich strzelców, szwadronów ułanów w czerwonych portkach i z włosienym przybraniem paradnych czak (a ułani to byli czarnowłosi bośniacy i kłeli „jebenti duszu!”), a jeden z tych ułanów w czasie odwrotu siedział zakurzony i ranny na schodach naszego domu i wszystka krew z twarzy mu uciekła i wsiąkała mu w te czerwone spodnie i nie było jej widać dopóki go nie zabrali w końcu i wtedy na progu naszego domu została rozlana krwawa plama która niczym się potem nie dała zmyć.

A znów kozacy dońscy z lampasami u spodni i wlokący za sobą szaszki o drewnianej pochwie obszytej czarną skórą uwiązali konie do jabłoni w naszym ogrodzie, i garbonose, dońskie konie obgryzały korę drzew do bolesnego różowego mięsa drzewek (już nigdy potem ta kora nie odrastała i nagie i śliskie i poczerniałe, jak po trądzie pnie drzew pozostały pamiątką po tej wojnie) i wysokie kulbaki kozackich siodel i kozacy uspakajali Stoj! Pastoj! kwiczące i gryzące się konie kiedy im zadawali paszy ze słodkich trzcin kukurudzy jaką nacięli w naszym ogrodzie zamachami szaszek.

A niemieccy huzarzy śmierci mieli kołpaki przyozdobione błyszczącą, wielką jak pięść trupa głową nad skrzyżowanymi piszczelami, znak Totenhuzarów, w drewnianych olstrach automatyczne pistolety Mausera, pistolet taki utwierdzało się na tej drewnianej pochwie i służyła ona wtedy jako kolba, ale te kołpaki były pokryte pokrowcami ochronnego koloru i wszystkie części ekwipunku były oksydowane na matowo, a konie mieli półkrwi i kurtyzowane, ale ta kawaleria niemiecka była na pokaz, i małe, zylaste typy żołnierzy którzy na tchórzliwych patrolach i furazach byczyli się i wyżywali w brutalizowaniu bezbronnych i zagnanych w trwogę chłopów i byli najgorszym typem człowieka marudera na peryferiach wojny, wybijającym kolbą Mauzera żęby, żrącego źle obrany z puchu pieczony drób i gorzkim grymasem sadystycznej gęby, przedrzeźniającego człowieczeństwo.

Do tego były niezliczone treny, artylerie, łodzie pontonowe na kołach, szpitale polowe, etapy, smród wlokący się za kolumnami wojsk, porzdewiałe puszkami z konserw na postojach, przegniłe płótna namiotowe, puste skrzynie z amuncji, śmietniska kuchni wojskowych, szlachtuzy, piekarnie polowe, pokrwawiona wata i zlewy punktów opatrunkowych, onuce, poślad koński i słoma, „Tank stelle”, „ETAPENKOMMANDO”, sznury od naganów na szyjach żandarmów, budy wysokich ciężarowych Packardów, kiedy ciągnęły od horyzontu do horyzontu gościńcami wysadzonymi czereśniami i brzęczącymi słupami telegraficznymi, broń w kozłach i posterunek w baszlyku z bagnietem na mrozie, sestrocy szpitali rosyjskich i złote pentle na lewym ramieniu waffenroku u austriackich wiedeńskich gigolaków z kawalerii, białe pasy i rozety u sercowato wyciętych butów gwardyjskich dragonów rosyjskich, na polu poza żydowskim cmentarzem podrygujący na cienkich kołach podwozia i oplątany pajęczyną linek naciągowych dwupłat Farmana i rosyjscy lotnicy w skórzanych kurtkach i watowanych haubach i jeden z nich na pół spalony w resztkach skraksowanego aeroplanu i ranni w szpitalnych kitlach palący machorkę i kikuty i Kirgizi i sowiety żołnierskie z czerwonymi kokardami u furazek.

Ale wszystko to przesłaniał kurz wzbijany przez przeciągającą piechotę.

Tedy ksiądz Czmoła przekradał się do naszego ogrodu, i chował się w krzakach malinowych. Jak potem dorosłem i czytałem rozmaite traktaty psychologiczne to wydało mi się to bardziej proste, że ironiczna natura takie figle sobie assocjuje, że wielcy i sążniści bać się będą a mali i niewyraźni okażą w przeciwnościach wspaniałego ducha.

Na przykład mój ojciec... Popsuło mu tylko jedno jego poranne zwycięstwa i przewagi. Kiedyśmy szli poprzez miasto z ojcem trzymającym nas za ręce, Elektra drepcząca po drugiej stronie wołała pokazując na jego kłótki cień:

...Popatrz jaki twój cień jest mały...

Ojciec, jak wszyscy ludzie niskiego wzrostu był głębiej niżby się zdawało dotknięty tą oczywistością.

— Zrzuńowałaś mi dzień — powiedział niewinnej i nieprzeczuwającej Elektrze.

Okazało się, że dzień był zrzuñowany, ale nie przez Elektrę. Zapędzony w tej wojnie za daleko baon piechoty, miał się po południu z powrotem. Z pośpiechem pakowano na skrzypiące furmanki ciężej rannych, nad stawem słycać było karabin maszynowy, ojciec skompromitował się na tyle, że jedyne co mu pozostało to pożegnać nas na czas jakiś i powędrować na zachód. Ale tok życia nienazbyt był naruszony. Kury grzebały w zalanym słońcem podwórzu, słycać było palcówki i gamy w pokoju od ogrodu gdzie panna Janka Chołodecka miała lekcję fortepianu z Elektrą, matka mimo migreny pamiętała o robieniu jakichś zapasów do jedzenia na drogę dla ojca. Ojciec uważał, że należy nam dać naukę przed rozstaniem i kazał mi zawołać Elektrę i zaczął od tego „żebyśmy nie dręczyli matki, że zostajemy tu nie na dolę ale na niedolę”... ale nie było czasu bo słycać było strzelaninę na grobli i ksiądz Czmoła znów ukrywał się w naszym ogrodzie.

Kiedyś, jak byłem dojrzałym człowiekiem to pojechałem w te strony jeszcze raz i dziwnym było być tu raz jeszcze. Wielkie drzewa koło stacji kolejowej były wycięte, staw zarósł oczeretami, miasteczko wydało się pomniejszone, trudno było w ciasności plotów i ogrodzeń zorientować się, ale nade wszystko wrażenie, że domy, rzeczy i krajobraz są pomniejszone jakby patrzeć przez odwróconą lornetkę, wrażenie spokoju i smutku.

* * *

Oto mój dom ubogi,
Też bielone ściany,
Też okna różnoszybe
Piec niepolewany...

Trułem się swoją kłeską i równocześnie drżałem z radości. Upewniałem się, że czek na Bank Westminsterki jest na swoim miejscu.

Ale musiałem jeszcze raz spotkać tego UNRowca z sarkastyczną gębą. Naturalnie za nic nie powiedziałbym mu o swoim postanowieniu i o swojej kłesce.

— Z ciekawości — opowiadał mi — przeszedłem koło Podwołoczysk na tamtą stronę to mnie złapali, dali w zęby, przytrzymali na strażnicy, pytali, kto, po co, dlaczego, kto wysłał, i przepchali z powrotem. No to na placówce KOP znów dostałem w zęby, pytali, dusili... Ale zębom nie dali rady...

Gadaj sobie zdrów, myślałem, jak ci tam... mój mleczny bracie i nie mogłem się obronić uczuciu zawiści.

Pomyślałem: To tylko Rusin o czarnym podniebieniu...

Nosił płaszcz nawet w gorące lato ażeby przykryć dziury na łokciach niemożliwie wytartej marynarki, na tył głowy miał zesunięty kapeluszek nieokreślonego koloru, wstążka kapelusza była przepocona i świecąca i wypchane na kolanach spodnie.

Ten Ukrainiec z Instytutu Słowiańskiego przy Rue Michelet. Już mnie drażniły te wszystkie jego Wy, Wami, Wyście, Wasza, Was i chciałem mu powiedzieć coś jadowitego i powiedziałem:

— O waszej Ukrainie to można by powiedzieć to, co napisał Joyce o Irlandii, że Irlandia to świnia co zżera własny plód...

Na co uśmiechnął się rzeczywiście bardzo krzywo i ukazując śliczne białe zęby w chudej twarzy. Mały chłopczyk który bawił się koło sąsiedniej ławki gdzie siedziała jego matka, ośmielony tym uśmiechem potulał kolorową piłkę w naszą stronę. Mój towarzysz stropił się i obracał piłkę w palcach niepewnie i w końcu niezgrabnie odrzucił ją w stronę dziecka.

Było bardzo gorąco i obliczywszy swoje możliwości zaproponowałem:

— Napilibyśmy się piwa albo co...

— To pańskie piwo — powiedział — widziałem jak się to robi, jak pracowałem w browarze Bière de la Comete we Fresnes, dopóki mnie nie wyrzucili. Gorąco, do połowy nagi, gdzie kadzie w fermentowni i brudną szczotką zgartywałeś wszystko z podłogi, co tam było, śmiecie, plwociny, do kostek w drewnianych chodakach, to wszystko do tych kadzi. Non! merci... Ale pożyczylbyś pan siedemdziesiąt centimów na metro?

Poszedł aleją pomiędzy awiarie i ptaszowiska Jardin de Plantes. Pod kopolami drucianymi, pod sklepieniami i łukami z siatki trzepotały się, rozczapierały swe pióra i ogony, przefruwały ptaki rajskie, papugi, sokoły, sępy, tukany i pieprzójady uwięzione.

* * *

Następnego dnia zrealizowałem czek na Bank Westminsterki na Placu Vendôme i kupiłem bilet u Cooka. Spakowałem swoje ruchomości do walizki. Kiedy przyjechałem na Gare du Nord było jeszcze wcześniej. Był wieczór i latarnie paliły się wzdłuż Boulevard Magenta. Poszedłem jeszcze wzdłuż bulwaru. Wstąpiłem do jaskrawo oświetlonego sklepu, Boite à music i wykupiłem sztony do automatu-gramofonu. Wcisnąłem je do maszyny i słuchałem zdartej płyty:

L'amour ne serait pas venue
si l'on ny était pas connu...

Potem jechałem w nocy pociągiem, szyby wagonu drgały rytmicznie i mijaliśmy nocny krajobraz. Już po dniu było Charleoi, potem Aachen, Essen, Hamm, Stendal, obcy kraj. Na kominach fabryk i parkanach wyrysowane smarem były swastyki.

W przedziale jechała rodzina emigrantów, wracali do Polski, „chomeurs”, jechało ich więcej tym samym pociągiem, we Francji nie było dla nich miejsca. On był górnikiem, ona pracowała w fabryce tekstylnej, ich mała córeczka wyglądała przez okno i wołała do rodziców:

— Vois tu, le petit chévrillon!... Drôle comme ça...

Myślałem jak to będzie jak się wróci, czy tak jakby patrzeć przez odwróconą lornetkę?

Na stacji w Zbąszyniu komitet opiekuńczy czekał na peronach z kuchniami na emigrantów. W ich tłumie i ja zostałem przywitany pełnym talerzem kiełbasy z kapustą...



L I R Y K A

Wiem, piechotą będę szedł ze stacji,
Choćby ciemnym to było wieczorem,
Zbłądzić trudno — kolejowym torem,
I na lewo, od dwu drzew akacji.

Kwiat tytoniu w ciemnościach pachnący,
Miodny zapach końskiego nawozu,
I daleko gdzieś gwizd parowozu,
Długi, smętny, tęskliwie cichnący.

Tak jak nieraz to już było we śnie,
Poznam głos twój, gdy zapytasz: „Kto tu?”
I za gardło uchwyci boleśnie
Strach i rozpacz i szczęście powrotu.

„Kto tu?” — spytasz, powiem : — „Ja — Antoni —
Tutaj jestem”. Jeszcze krok, pół kroku,
I dłoń drżącą poczuję na skroni,
I usłyszę bicie serca w mroku.

„Nie myślałem, że cię tak przestraszę.
Nie pal światła, stójmy tak w ciemności.
Poco patrzeć w oczy już nie nasze,
Kiedy serca biją, jak w młodości”.

„Pocoś wrócił? Tu źle”. — „Ja wiedziałem,
Lecz nie było dla mnie ukojenia.
Zostawiłem tu wszystko, co miałem.
Nasze wspólne młodzieńcze marzenia”.

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

PO UPADKU MUSSOLINIEGO

ROZCZAROWANIE

W dzień po wieczornej zmianie gazety ukazały się późno, prawie przed południem, wobec tego że redakcje były podemolowane i ich skład naprędce zmieniony.

Najpierw, jak się zresztą spodziewała publiczność, zorganizowano druk najpoczytniejszego z dzienników rzymskich „Messaggero”. Odbito go jednak tylko na jednej stronie i tylko na jednym arkuszu. Tekst był skąpy i drukowany wielkimi literami. Zawierał fotografie króla i marszałka Badoglio oraz oficjalne komunikaty. To wydanie służyło do rozlepienia na murach.

Wkrótce później ukazało się wydanie innego dziennika, który tak samo opatrzony fotografiami króla i marszałka Badoglio, wzywał ludność do zachowania spokoju i godności oraz do nieutrudniania prac nowego rządu. Pochlebiał tłumowi. W pół godziny później tłum ten został zarzucony pochlebstwami ze wszystkich możliwych stron. Głaskano jego uczucia patriotyczne, uderzano i do jego serca i do kieszeni, do zarzucenia i tchórzostwa, głaskano go grożąc mu jednocześnie wyraźnie.

Widać było, że niepokój ludzi o to co będzie stał się powszechny i że niepokój ten podzielał także i rząd. Niepokój ten widać było także i z proklamacji króla, który zbyt wyraźnie i zbyt gorączkowo podkreślał swoją wspólnotę z włoskim narodem.

Tłum tego jeszcze nie rozumiał, mimo że do spokoju i „zachowania godności” nawoływały go nawet dzienniki skrajnej i rewolucyjnej opozycji antyfaszystowskiej jak „Mondo”, którego pierwszy numer wyszedł wtedy po dwudziestokilkuletniej przerwie.

Wszystko co miało być zrobione zostało już dokonane przez króla. Tak to rozumiał rząd. Tłum tymczasem, rozumiał to inaczej i coraz liczniej wylegał ze swych odległych przeludnionych przedmieść. Przeważali w nim mężczyźni i kobiety których nigdy nie widziało się na centralnym „Corso Umberto”, bez marynarek, w rozchełstanych koszulach o zawiniętych rękawach, o rozgorączkowanych twarzach, z drągami w rękach. Wielu miało bagnety, wielu było ubranych na pół po wojskowemu, z bronią. Rekwirowali autobusy i taksówki, objeżdżali w nich miasto nawołując ludność do wychodzenia na ulicę.

Ale zwykli mieszkańcy centrum, publiczność inteligencka i mieszczańska zaczynała już patrzeć na tych ludzi z politowaniem. Tłum już nie przerażał, zaczynało z niego pokpiwać. Wiedzano bowiem, że dzień wolności dany tłumowi już dobiegał końca. Było to prawdą, bo oto wkrótce po ukazaniu się dzienników pełnych pochlebstw, perswazji i gróźb, na murach miasta rozlepiono obwieszczenia komendy wojskowej o stanie oblężenia w Rzymie i prowincji rzymskiej. Robotnicza ludność z przedmieść zbroiła się i wylegała coraz większą masą na ulicę, robotnicy okupowali faszystowskie związki i urzędy. Publiczność z centrum natomiast czytała już obwieszczenia w których zabraniano większych zgromadzeń, niż trzech osób, wychodzenia z domów po zmierzchu i w których nakazywano zamknięcie drzwi i okiennic domów w godzinach wieczornych i nocnych.

Były w tych obwieszczeniach i słowa groźniejsze: każde przekroczenie miało być jak najsurowiej ukarane, wszelki opór miał być natychmiast zgniecony. Było aktualne to, co powiedział w swej proklamacji nowy prezes rady ministrów: „Wojna trwała.”

Na ulicach wraz z wojskiem pojawiła się policja krajowa i kolonialna zaprawiona do tłumienia rozruchów murzyńskich i etiopskich. Policja ta nie miała palek gumowych ale karabiny maszynowe i tanki. Tanki i karabiny maszynowe ukazały się także przed instytucjami państwowymi. Worki z piaskiem ułożono w oknach. Na rogach ulic ustawiono działa. Wojsko ustawiło na placach karabiny w kozły. Jednocześnie radio podawało ogłoszenie o stanie oblężenia z tą samą częstotliwością z jaką poprzednio podawało komunikat o upadku Mussoliniego. Tłum chociaż niechętnie, zaczął wracać do domu. Pisma antyfaszystowskie, wydrukowane w godzinach zamętu, miały nie ukazać się więcej.

Przyszła wieczór. Całą noc słyszano się to tu to ówdzie strzały karabinowe i ciągle rumor przejeżdżających tanków i aut wojskowych. Ludność zamknęła się w domach.

„NIE MY DECYDUJEMY”

Cicho było w Rzymie następnego dnia. Dziwnie wyglądało miasto. Nie widziało się żołnierzy przydzielonych dawniej do punktów obrony przeciwnolotniczej, tych dobrych żołnierzy, z którymi ludność żyła od dawna. Ich miejsce zajęły wojska obce, przybywające wprost z koszar, którym zabroniono stosunków z ludnością. Dzienniki ukazały się normalnie i podały przebieg posiedzenia wielkiej rady faszystowskiej, które

zdecydowało było samobójczą śmierć faszyzmu. Aresztowanego Mussoliniego tytułowano w komunikatach ekscelencją i z tonu prasy widać było, że rząd zamierzał bronić faszystów przed pogromem obawiając się by rozruchy antyfaszystowskie nie zamieniły się w rewoltę.

Nazajutrz, drugiego dnia po upadku Mussoliniego, po zaledwie jednodniowej egzystencji, zostały skonfiskowane dzienniki opozycyjne i zamknięte ich redakcje. Przed małą drukarenką jednego z tych dzienników stały warty. Drzwi były opieczetowane.

Partie antyfaszystowskie w swej deklaracji nazywały króla i marszałka Badoglio współpracownikami faszyzmu i nawoływały ludność do powstania. Ale odezwy te i deklaracje zostały skonfiskowane.

Tylko na tramwajach, autobusach i na murach domów zamiast hasel prokrólewskich pojawiły się masowe napisy:

„Chcemy pokoju”.

Pisano:

„Niech żyje rewolucja”.

„Precz z dyktaturą wojskową”.

„Niech żyje rząd robotniczy”.

„Niech żyją Wolne Włochy”.

Słowo „Wolne” najczęściej było podkreślone.

Policja i wojsko stały na ulicach i nie wolno było gromadzić się więcej niż trzem osobom. Mimo to ulice były przepelnione a ludność podniecona. Kursowały najbardziej fantastyczne pogłoski. Oto jedna z nich o możliwości powrotu Mussoliniego. Krążyły głosy, że rząd marszałka Badoglio, pod presją niemieckiej komendy wojskowej, zamierzał oddać jej Mussoliniego. Oznaczałoby to powrót faszyzmu pod okupacją niemiecką.

Trzeciego dnia po upadku Mussoliniego rozeszła się nagle i jednocześnie we wszystkich dzielnicach miasta nieprawdziwa wiadomość o samobójstwie Hitlera. Wiadomość ta podawana była przez ludzi z całym przekonaniem jako rzecz najzupełniej pewna i ogłoszona przez radio, nie ulegająca wątpliwości. Podawano nawet szczegóły, godzinę i rodzaj wybranej przez niego śmierci. Mówiono, że popełnił samobójstwo w swojej kwaterze wojskowej strzelając sobie w skroń z małego, damskiego rewolweru. Na ulicach, mimo zakazu zgromadzeń, odbywały się manifestacje. Interweniowało wojsko. Hitler żył, w Niemczech nie było żadnej rewolucji, wojna trwała i ludność uspakajała się przestając wierzyć, że ma cokolwiek do powiedzenia. Tak minęło kilka nieprzyjemnych dni oczekiwania na to co się zdarzy. Rzym spędził je w stanie oblężenia łączywie chwytając każdą wiadomość o zamiarach czynników, które w owej chwili decydowały o losach Włoch. Tych czynników było trzy: własny rząd, komenda wojsk niemieckich i najważniejszy, komenda wojsk sprzymierzonych. Ufano, że rząd zamierzał skończyć wojnę. Wiedziano, że nie miał łatwego zadania. Wiedziano jednocześnie o proklamacji dowództwa wojsk sojusznicznych, w której uprzedzano ludność Włoch o bliskim wznowieniu działań wojennych.

Nad Rzymem wisiało więc na nowo niebezpieczeństwo ataku. Na nowo przestano ignorować alarmy lotnicze. Ulice pustoszały pospiesznie na pierwszy głos syreny alarmowej. Tak wyglądał między innymi dzień pierwszego sierpnia, kiedy to, po nocy niespokojnej, w ciągu której we wszystkich dzielnicach słyszano się bezładne strzały, rozeszła się po raz pierwszy wiadomość, że wojska niemieckie stacjonowane w pobliżu Rzymu otrzymały rozkaz marszu na Rzym. Wiedziano, że trzy pełne dywizje niemieckie zbliżały się od strony Neapolu i jeziora Bracciano. Atak mógł rozpocząć się każdej chwili. Miasto miało być okupowane. Wisiała nad nim groźba odwetu faszystów i niemieckiego terrorku.

Rzym jednak tego dnia nie został okupowany. Rozpoczęły się dni uciążliwych targów między władzami niemieckimi i włoskimi, dni w których ludność nie wiedziała czy niebezpieczeństwo już było minęło czy też groziło ciągle. Mówiło się, że osoby zbliżone do rządu uprzedzały byłych więźniów politycznych by opuścili miasto. Rzeczywiście większość spośród tych ludzi, ludzi, wynędzniałych długoletnim więzieniem i zwalnianych w tych dniach masowo, ukryła się na prowincji.

Zdenerwowanie trwało. Któregoś dnia znowu poszła po mieście wieść, że wojska niemieckie na nowo otaczały Rzym i była to prawda. Niemcy wojskowi i cywilni, zajmujący w Rzymie wiele zarekwirowanych domów i hoteli, rzadko wychodzili odosobnieni i mieli zawsze broń ze sobą. Broń tę w owych dniach rozdawano im szczerze. W ich sferach panowało każdego dnia większe podniecenie i zdenerwowanie. Zdenerwowanie to każdego dnia powiększało się także pośród cudzoziemców związanych z Niemcami.

Radość i podniecenie panowały także w sferach proniemieckich. Tam zbierano się pokryjomu, spiskowano z komendą niemiecką, przygotowywano zamach stanu. Na manifestach rządowych pojawiły się dopisane ołówkiem słowa:

„Niech żyje Mussolini”.

Napisów tych dnia, w którym najsilniej groziło niebezpieczeństwo niemieckiej okupacji, było znacznie więcej niż tych które wolno było pisać i które wypisywano na murach.

TARGI I POGRÓŻKI

Natężenie trwało krótko. Przyszedł moment w którym zaczęło się mówić w mieście, że Niemcy ustąpili. Mówiło się, że ustąpili ponieważ także i komenda włoska zaczęła ściągać wojska w stronę Rzymu i ustąpili pod groźbą rządu włoskiego który zdecydowany był w odpowiedzi na okupację Rzymu zawrzeć pokój i wycofać wojska okupacyjne z Grecji, Francji, Jugosławii. Ustąpili. Mówiło się jednak, że na granicy włoskiej pozostało pół miliona ich wojsk przybyłych tam w czasie pertraktacji. Mówiono, że w razie podpisania rozejmu wojska te okupowałyby Włochy. Wydawało się, że miasta północne aż do Rzymu włącznie niuniknienie zostałyby zajęte. Alianci byli zbyt dalego by móc przybyć na czas.

PORNOGRAFIA I ŻAŁOBA

Jakżeż daleko były czasy gdy traktowało się poważnie hasła Mussoliniego o wznowieniu dawnego, rzymskiego Imperium, o panowaniu na Morzu Śródziemnym, o zabieraniu Korsyki, Nicei, Tunisu, o podbijaniu Grecji czy Abisynii. Każde podobne wspomnienie wywoływało wstyd. Ludzie z nienawiścią i gniewem patrzyli na pozostałe jeszcze na murach, wymalowane wielkimi literami hasła w rodzaju tego, mającego najmniej sensu ze wszystkich i najbardziej jednocześnie faszystowskiego: „Należy się bić”. Po co się bić, dlaczego się bić? Tego faszyzm nie wyjaśniał. Należało walczyć. Oto wszystko. Walczyć o cienie dawnego Imperium albo po prostu dlatego, że wojna była piękna, że była „wspaniałym fenomenem kosmicznym”, że była „higieną świata” jak wyjaśniał poeta faszyzmu, Marinetti.

Obecnie chodziło o to żeby jakoś z niej wyjść i wydawało się, że ludność będzie chciała z niej wyjść sama, nie czekając decyzji władz.

Prasa, żeby odwrócić uwagę ludności od tych spraw, publikowała co pikantniejsze historie z życia faszystów. W ten sposób przez pewien czas wiele pisało się o licznych, młodych i ładnych kochankach Mussoliniego, potem o nadużyciach finansowych wyższych urzędników partyjnych, potem o schwytaniu osławionego Dumini, uczestnika napadu na

Matteotti. Ale rzeczy te nie interesowały nikogo, najmniej skandale na temat erotycznego życia ex wodza, bo Mussolini nigdy nie ukrywał posiadania licznych kobiet raczej afiszując się tym by wykazać swoją żywotność. Mussolini został zapomniany prawie natychmiast. Chodziło o tych, którzy aktualnie byli u władzy a nie o tych którzy od niej odeszli, i chodziło o niebezpieczeństwo w którym znajdował się kraj. Wydawało się, że rząd nie potrafił kraju z tego niebezpieczeństwa wyprowadzić.

„Nie ma czasu do stracenia. Musimy decydować sami i natychmiast” — mówiono w Rzymie. Wydawało się, że tym razem ludność nie ustąpi.

OBAWA PRZED REWOLUCJĄ

Na nowo mówiono o masowym wyjściu na ulicę i podniecano się najbardziej fantastycznymi pogłoskami, z których najważniejszą była ta o nowym bombardowaniu Rzymu które mogło nastąpić każdej chwili.

„Spieszmy się bo ludność nas zmiecie” mówiono sobie w rządzie. Nastroje paniki w rządzie powiększyły się jeszcze bardziej gdy Rzym rzeczywiście został zbombardowany powtórnie. Żeby uspokoić ludność puszczono wieść z ręki do ręki, że rząd już rozpoczął rokowania pokojowe. Naprężenie jednak nie ustawało i jego najdobitniejszym wyrazem były niezliczone tłumy, tysiące i dziesiątki tysięcy kobiet, mężczyzn i dzieci obarczonych bagażem, które zainstalowały się na stałe, na placu przed katedrą świętego Piotra przed Watykanem. Obozowała tam cała ludność ze zburzonych dzielnic, ludność z dzielnic położonych przy torach kolejowych, uciekinierzy szukający w Rzymie bezpieczeństwa.

TAJEMNICA NIEDZIELI

Tego samego dnia tłum ten, pomnożony o nowe tysiące, przyszedł pod Watykan, tym razem jednak by zademonstrować swą radość i wdzięczność za ogłoszenie Rzymu miastem otwartym. Tłum wiwatował na cześć Papieża gorąco, jego staraniom przypisując tę decyzję rządową. Papież przyjmując demonstracje ukazał się kilkakrotnie w oknie błogosławiąc ludność.

Radość więc panowała w tę sobotę. Radość ta była zapowiedziana zresztą kursującą od kilku dni tajemniczą przepowiednią, według której rzymianie mieli w piątek płakać, w sobotę cieszyć się i śmiać się w niedzielę. Piątek rzeczywiście był dla Rzymu dniem głębokiego smutku a dla wielu tysięcy dniem katastrofy, bo był to dzień ciężkiego ataku lotniczego. Sobota była dniem radości, bo to w sobotę ogłoszono Rzym miastem otwartym. Nie wierzono jednak by można było śmiać się w niedzielę. Żadna bowiem wieść nie mogła rozwiązać bez krwi, walk i nieszczęścia trudnej włoskiej sytuacji.

OSTATNIE DNI NIEPEWNOŚCI

Rzym miał być miastem otwartym, decyzję tę ogłosiły jednak tylko jednostronnie władze włoskie. Alianci wymagali uprzedniego usunięcia z Rzymu wojsk, fabryk wojennych, władz wojskowych, nieużywania go jako centrum komunikacyjnego. Drogi podmiejskie więc zaroily się na nowo od tłumów chcących wyemigrować. Ludność opuszczała miasto jak się dało, wiele kilometrów wędrując pieszo do podmiejskich dworców kolejowych by tam całe dni biwakować w polu czekając na miejsce w przepelnionych pociągach. Inni szli dalej pieszo prowadząc za sobą swe rodziny i wlokąc ocalały z bombardowań bagaż. Na drogach tych widziało się jak byli wychudli, jak byli obdarci, zabiedzeni. Dzieci oblegały żołnierzy jedzących chleb, twarze miały ziemiste, straszne. Krążyły z blaszankami od jednej kuchni polowej do drugiej, krążyły wielkimi masami, w poszukiwaniu żywności dla siebie i dla rodzin.

„Chleba, chleba” proszono wzdłuż całej drogi.

Samoloty angielskie i amerykańskie dniami i nocami krążyły nad tym na pół bezpańskim miastem gdy jego mieszkańcy szli na nowo chronić się i demonstrować przed Watykanem. Jak i poprzednio nie było wody, nie dostarczano mleka i nie wydawano mięsa. Na rynki dowożono tylko niewielkie ilości jarzyn nie wystarczających dla wygłodniałej rzeszy rzymskiej.

ZAMIAST NARODOWEJ ŻAŁOBY

W takim nastroju był Rzym gdy przyszła do niego wiadomość, która w innym czasie okryłaby miasto żałobą. Skończyła się mianowicie bitwa o Sycylię. Cała wyspa została zajęta przez wojska sprzymierzonych, mało kto ocalał z pogromu. W Rzymie nie zamknięto tego dnia teatrów, kawiarni i kin. Nie ogłoszono żałoby. Pośród ludu mówiono zwyczajnie: „Niech się pospieszą”.

Pospieszyć się mieli sprzymierzeni i Rząd kończąc jak najprędzej wojnę. Uwaga była zwrócona w tym kierunku. Przebąkiwano nieśmiało i z nadzieją prędkiego oswobodzenia od duszącej zmory, że wysłannik włoski już był w kontakcie z komendą wojsk sprzymierzonych na Sycylii i że rokowania pokojowe już się rozpoczęły w Lisbonie.

OSTATNIE DNI OCZEKIWANIA

Smutne były te dni, rzeczywiście przygnębiające. Jak już mówiłem nad Rzymem i jego okolicą każdego dnia i każdej nocy krążyły samoloty albo niemieckie albo amerykańskie i angielskie, krążyły jak nad pustynią lub ziemią niczyją, nie spotykając ani oporu ani protestu. Nie atakowały miasta i jego okolic gdyż nie było to już potrzebne. Były jednak ciągle obecne, w roli przednich straż wojsk które gotowały się do ataku. W mieście tymczasem każdego dnia krążyły nowe wieści o tym, że tysiące okrętów wojennych już przygotowanych do inwazji zbliżało się do południowych wybrzeży gdy jednocześnie z północy gotowała się inna inwazja ciągle wzmacniających się wojsk niemieckich, wspomaganych przez piątą, ex faszystowską kolumnę, jak o tych ludziach mówiło się w tym czasie. Pociuszające było tylko to, że rząd przygotowywał się do jakichś wielkich wydarzeń. Tym razem ludność powitała z radością okupowanie fabryk przez wojsko i pojawienie się wojsk na ulicach. Wielkie wydarzenie bowiem mogło być tylko jedno: podpisanie pokoju. Dzienniki pisały otwarcie przeciw przymierzemu z hitleryzmem i otwarcie odmawiały z nim solidarności. O wojnie pisały tak, jak przedstawiała się ona naprawdę nic już nie ukrywając. Nie nazywano więcej bomb bombkami, złorzeczono faszyzmowi, że kryjąc się w cieniu rzymskich monumentów i spod osłony Watykanu nakazywał obronę na pięści i zębami przeciw tankom i latającym fortecom. Pisano, że można było przejechać dziesiątki kilometrów przez Włochy i minąć wiele wsi i osad nie napotkawszy ani śladu ludzkiego życia.

Tak przyszedł dzień trzeciego września w którym stało się wiadome, że wojska angielskie wylądowały już na południu Włoch. Tego samego dnia wiele miast zostało tam zajętych i tego samego dnia rzymianie usłyszeli odgłosy wielkich wybuchów w stronie podmiejskich lotnisk okupowanych pospiesznie przez Niemców gotowych do zajęcia miasta. Raz i drugi poszła między mieszkańcami radosna wieść, że angielskie dywizje spadochronowe wylądowały w porozumieniu z rządem na tych lotniskach i wydawało się, że jakimś cudownym sposobem wszystko zakończy się nagle, jakąś piękną niedzielą z przepowiedni. Wydawało się, że w każdej chwili będzie można zobaczyć maszerujące przez ulicę wojska angielskie, że rozpocznie się bitwa, że skończy się wojna.

Gotowało się coś niesamowitego i w Rzymie, w tym dniu były godziny w czasie których miasto nagle pustoszało i inne, w czasie których ludność

wylegała nagle na ulicę, jak gdyby wielka wiadomość już została ogłoszona. Tak przyszedł dzień siódmego września, w którym ogłoszono o zawarciu na Sycylii zawieszenia broni. Tego samego dnia Niemcy zaczęli swój marsz na Rzym i po rozpaczliwej obronie ludności na przedmieściach, opanowali miasto.

STEFAN THEMERSON

PÖLÄTÜO

(dokończenie)

W roku 1888, w czasie kiedy cały świat chrześcijański, z papieżem Leonem XIII na czele, ogarnięty był radością z powodu zniesienia niewolnictwa w Brazylii, kardynał Pölätüo pojechał do Karlsruhe, żeby zobaczyć się z Hertzem. „Nie wiem czy eter istnieje czy nie — powiedział mu Hertz, kiedy zajrzeli do małej piwiarni obok Politechniki, — ale wiem, że istnieją fale elektro-magnetyczne, które różnią się od świetlnych tym tylko, że ich nie widać. Załamywałem je, odbijałem, polaryzowałem, rozszczepiałem, zmierzyłem ich szybkość i jest to ta sama szybkość co światła”. „Herr Professor...” — zaczął Pölätüo, lecz nie dokończył zdania. A potem na stronie 2609 napisał:

1° *Wiedza pośrednia posiada także swych proroków. Jeden z nich nazywa się J. Cl. Maxwell: 20 lat temu zapowiedział on był przyjście Heinricha Rudolpha Herza.*

2° *jeśli odkrycie fal e.m. zburzy mechanistyczne spojrzenie na budowę świata, to czy nie będzie zadaniem Pölätüomizmu opracować na nowo rozdział z Tomaszem z Akwinu p.t.: „Że w Bogu nie ma materii” — w sensie: „Że w Bogu nie ma materii ANI fali” — czy też:*

3° *nie należy rozpracować zagadnienia „Że Bóg JEST falą”, której absolutność została dowiedziona przez Michelsona a istnienie przez Hertza, i*

4° *czy ten dowód uznania przez wiedzę pośrednią tego, co wiedza bez pośrednia znała już od dawna, nie będzie właściwym ukoronowaniem Pölätüomizmu?!*

5° *czy argument ten nie uniemożliwiłby Mr. Bradlaughowi przeprowadzenia prawa dla bezbożnych do zasiadania w Parlamencie Angielskim bez składania przysięgi?*

W roku 1889 pojechał Pölätüo do Paryża, aby przyjrzeć się kongresowi II Międzynarodówki, następnie sprowadził sobie zbudowany przez Edisona model kinetoscopu, jako też wydany przez Dreyera „Nowy Generalny Katalog 7840 mgławic”. Na stronie 2974 zanotował:

Nie widzę nic bluźnierczego w fakcie istnienia Kongresu. Jeżeli Pan Bóg zechce ukarać nas wojną, przewodcy Międzynarodówki będą, każdy w swoim narodzie, głosować za przyznaniem kredytów na prowadzenie wojny”.

I na stronie następnej:

Kinetoscop jest narzędziem, które — równie dobrze jak produkcja dóbr materialnych — wpływać będzie mógł na „ogólny charakter zjawisk życia społecznego, politycznego i duchowego” (vide: pagina 419). Dlatego powinien znaleźć się w rękach Kościoła.

W roku 1890, w tydzień po wydaniu przez Leona XIII Encykliki „Sapientiae Christianae”, mianowicie 17 stycznia, pojechał Pölätüo do Cambridge gdzie widział się z Sir J. G. Frazerem.

W drodze powrotnej zatrzymał się w Paryżu i miał spotkanie z Pierre Janetem. Na stronie 3339 pisał:

Pierre Janet powiedział mi, że jeśli pokieruje się umysłem pacjenta tak, że przypomni on sobie sytuację w której doznał wstrząsu, i następnie wytłumaczy mu się, że wstrząs ten nie miał wielkiego znaczenia i nie przedstawiał specjalnego niebezpieczeństwa, to zdarza się że umysł i ciało pacjenta powraca do zdrowia”.

Gdyby ten system leczenia rozpowrządził się miał rzeczywiście — widziałbym go niebezpiecznym dla instytucji konfesjonatu. I jeśli w encyklice „*Sapientiae Christianae*” Ojciec Święty mówi: „...jest całkowicie jasne że rządzący Państwami są wolni w administrowaniu swoimi własnymi sprawami i to nie tylko przy biernej tolerancji ze strony Kościoła lecz w zupełnej z Nim czynnej współpracy” — to czy, ze względu na doświadczenia Pierre Janet, nie należałoby spod kompetencji rządzących Państwami wyjąć całkowicie kontroli nad praktyką lekarską i poddać ją Kościołowi? (Założyłem sobie światło elektryczne).

W roku 1891, na stronie 3704, napisał:

Otrzymałem 2 tomy „*The Golden Bough*” Sir Jamesa. Religia jako gałęź antropologii, archeologii, psychologii i socjologii. Wbrew niektórym autorytetom nie widzę w tym premedytacji bluźnierstwa. Przeciwnie, niektóre z pism pochwalam, pokazując mi bowiem w jaki sposób Bóg zbudował tę drogę, po której człowiek dojść może do poznania Boga.

W roku 1892 kardynał Pölatüo kazał przetłumaczyć sobie z niemieckiego wydane właśnie „*Aufsätze über Vererbung*” Weissmanna. Na stronie 4069 napisał:

Wiedza pośrednia sama siebie pożera. Oto już Weissmann połknął do potowy Darwin: to co człowiek czyni z ciałem swoim śmiertelnym — *SOMA*, nie ma wpływu na charakter jego ciała potencjalnie nieśmiertelnego, którym jest: *OVUM + SPERMA*.

Od tysięcy lat obrzezują się Żydowie, a chłopcy wciąż z napletkiem rodzą im się.

Od początku świata perforowali mężowie żony swoje, a dziewczęta wciąż z błoną dziewiczą rodzą się.

Jakże więc przyjść ma na świat darwińska rasa lepiej przystosowanego, skoro ojcowie przystosowalności swej dzieciom przekazać w spermie nie są mocni.

W roku 1893 kardynał Pölatüo zapisał sobie odkrytą właśnie przez Wiena Uniwersalną Stałą, wyrażającą stosunek długości fali do temperatury absolutnej ciała promieniującego, mianowicie: 0.294 *cm. stopnie*, i pojechał z tą notatką do Limy, w związku z arbitrażem papieskim w sporze granicznym Peru z Equadorem.

W roku 1894 z: 1. pismami Charcota o hypnozie, 2. Krügera „*Catalog der Farbigen Sterne*”, 3. Langleya „*Internal Work of the Wind*” — w neseserze, pojechał do Guiany w związku z mediacją papieską w sporze granicznym brytyjsko-venezuelskim.

W roku 1895 pojechał na Haiti w związku z arbitrażem papieskim w sporze Haiti z San Domingo, stamtąd zaś udał się do miejscowości Trinil na Jawie, żeby zobaczyć na własne oczy miejsce, w którym Dubois znalazł dwa zęby trzonowe, kawałek czaszki i kość udową istoty, nazwanej przez Dubois *Pitecanthropus Erectus*. Kości oczywiście Dubois zabrał był ze sobą i Pölatüo, odłupawszy kawałek lawy wulkanicznej, pochodzącej prawdopodobnie z epoki Pleistocenu, udał się do Monachium, gdzie W. K. von Röntgen, nie otwierając portmonetki kardynała, sporządził mu fotografię zawartych w niej pięciu srebrnych lirów, dwudziestu centymów, trzech marek i kluczyka od kuferka, którą to fotografię, po powrocie do Rzymu, kardynał Pölatüo powiesił obok fotografii mgławicy Andromedy i reprodukcji Tintoretta.

W roku 1896 udał się do Abisynii, żeby apelować na rzecz jeńców włoskich u cesarza Menelika, po czym pojechał do Ameryki, nad rzekę

Potomak, gdzie obserwował próby maszyn Langleya, maszyn latających w powietrzu. Wrócił przez Amsterdam, gdzie złożył wizytę Zeemanowi, który pokazał mu jak linie spektralne sodu rozsuwają się gdy płomień znajduje się w silnym polu e.m., i przez Paryż, gdzie widział się z Becque-relem w Academie de Science, w przerwie, po jego sprawozdaniu o dziwnym zachowaniu się soli uranu, zaświecającej owiniętą w czarny papier kliszę fotograficzną i rozładowującej na odległość płatki elektroskopu.

W roku 1897 Gustave Canet pokazywał mu swoje działko polowe 75 mm. à tire rapide, J. J. Thomson ofiarował mu odbitkę swej pracy o promieniach katodowych, Atwater zaś wykazał doświadczalnie kardynałowi, że ten wydaje z siebie tyle energii cieplnej ile jej zjada.

W roku 1898, podczas nieobecności Mme Curie zajął do pracowni przy rue Lhomond, po czym miał spotkanie z grafem Zeppelinem, który pokazywał mu plany balonu poruszanego za pomocą śmigła.

W roku 1899 Haeckel przysłał mu dedykowany egzemplarz swej „Welt-rättsel”, Campbell zaś doniósł, że gwiazda Polarna jest potrójna. W czerwcu brał udział w Kongresie ku czci Volty w Mediolanie, a we wrześniu w Narodowym Kongresie Elektrycznym, otwartym przez króla Umberto I i Królowę.

29 lipca 1900 roku kardynał Pölatüo zapisał do końca 6935-tą kartkę. „10% tych kartek — powiedział sobie — stanowi podstawy Pölatüomizmu. Ale które z nich stanowią te 10%?” Na biurku kardynała leżał, obok rękopisu, wycinek ze sprawozdaniem z doświadczeń Loeba nad zapładnieniem chemicznym i książka niejakiego Freuda p.t. „Traumdeutung”. Pölatüo odsunął od siebie te druki. „Poznanie wiedzy pośredniej nie kończy się nigdy — rzekł sam do siebie — Jeśli się chce stworzyć system filozoficzny trzeba w pewnym momencie powiedzieć: Fermasi!”

— Fermasi! — powtórzył Pölatüo i wziął do ręki kartkę *pagina* 6935. Było na niej napisane:

Hipoteza:

w chwili konania dusza żyje coraz szybciej;

exemplum:

jeśli konanie trwa 2 (dwie) sekundy

to:

<i>w ciągu pierwszej</i>	1	<i>sekundy</i>	<i>dusza żyje 1 sekundę</i>
<i>w ciągu ½ pozostałej</i>	1	<i>sekundy</i>	<i>dusza żyje 10 sekund</i>
<i>w ciągu ¼ pozostałej</i>	½	<i>sekundy</i>	<i>dusza żyje 100 sekund</i>
<i>w ciągu ⅛ pozostałej</i>	¼	<i>sekundy</i>	<i>dusza żyje 1000 sekund</i>
<i>w ciągu 1/16 pozostałej</i>	1/8	<i>sekundy</i>	<i>dusza żyje 10⁴ sekund</i>
<i>w ciągu 1/32 pozostałej</i>	1/16	<i>sekundy</i>	<i>dusza żyje 10⁵ sekund</i>
<i>w ciągu 1/64 pozostałej</i>	1/32	<i>sekundy</i>	<i>dusza żyje 10⁶ sekund</i>
<i>w ciągu 1/128 pozostałej</i>	1/64	<i>sekundy</i>	<i>dusza żyje 10⁷ sekund</i>
<i>w ciągu 1/256 pozostałej</i>	1/128	<i>sekundy</i>	<i>dusza żyje 10⁸ sekund</i>
	<i>itd.</i>		<i>itd.</i>

w ciągu ½ pozostałej $\frac{1}{\infty}$ *sekundy* *dusza żyje* ∞ *sekund*

SUMA = 2 sek.

SUMA = WIECZNOŚĆ

W ten sposób, zgodnie z wiedzą pośrednią, dusza umiera w ciągu 2 sekund, a przy tym,

zgodnie z wiedzą bezpośrednią, żyje wiecznie.

Pölatüo przejrzał tę kartkę uważnie, a potem umaczał pióro i dopisał:

System filozoficzny nie wymaga dowodu że tak jest — jedynym i wystarczającym jest wytlómaczenie logiczne.

Założył nogę na nogę (w roku 1900 Pölatüo był jedynym z kardynałów, który nosił jeszcze bryczesy i czerwone pończochy) i podrapał się w kolano.

To przypomniało mu nagle króla Umberto i rok 1881. „Dziewiętnaście lat mija — powiedział sobie — w 81-szym miałem lat 59, dziś mam 78”. Nagle usłyszał cichy szmer otwierających się drzwi. Odwrócił się. W progu stał sekretarz kardynała.

— Nie mów nic, zaczekaj! — zawołał Pölätüo. Wstał z fotela, doszedł do biblioteki i długo w niej czegoś szukał. Wreszcie wyciągnął poźółkły numer pewnego pisma świeckiego z roku 1880. Położył go na biurku. Na marginesie napisane było piórem:

„...to od kobiety, która nas prosi o pieniądze — zarządzimy modlić się za nią.

„...to od kobiety, która prosi o modlitwę — każemy posłać jej pieniądze.

„...to od żydówki, która życzy sobie zobaczyć Papieża — napiszemy do niej list.

„...to coś bardzo poważnego — nie uczynimy narazie nic.

„...to coś jeszcze bardziej poważnego — postąpimy w sposób taki, jaki, po przeczytaniu tego listu, uznamy za właściwy.

Pölätüo przerzucił okiem te notatki, a potem zwrócił się do sekretarza:

— Dice!

— Przed chwilą odebrałem telefon z Monza: anarchista Gaetano Bresci zamordował Króla!

Kardynał Pölätüo poderwał się z fotela:

— To telefon nasz już działa?! — zawołał.

Idąc z postępem czasu kardynał Pölätüo, on, który w roku 1884 jeździł do New-Yorku żeby rozmawiać po drucie z Bostonem, założył był telefon u siebie w pałacu. Żółta skrzynka wisiała już od maja, jak dotąd ani razu jeszcze jednak nie udało się nikomu dostać przez nią połączenia.

8.

„Czemu Bóg nie zatrzymał ręki anarchisty Gaetano Bresci?”

Raterek Berkeley zdechł był już dawno (w 1885, a może w 86?), w prawej dolnej szufladzie biurka jednak wciąż jeszcze leżał kawałek sznurowadła, schowany w szkatułce z macicy perłowej. Kardynał Pölätüo bezwiednie, automatycznie, otworzył szufladę, nacisnął guziczek z szkatułki, patrzył chwilę na sznurowadło, a potem zatrzasnął szkatułkę i wsunął szufladę z powrotem.

„Czemu?” — powtórzył.

Stanął przed wielkim zwierciadłem weneckim i zapytał sam siebie:

„Czy nie dlatego, żeby zatrzymać rękę Umberta, który, przed dziewiętnastu laty, obiecał mi zlikwidować teraz, w roku 1900, syna hrabiny Kostrowitskiej?”

„Nonsense! — wykrzyknął, odwracając się od zwierciadła — Obiecałem Bogu, że Guillaume Poeta zniknie z powierzchni ziemi i mam wiedzę bezpośrednią, iż Bóg przyjął tę moją ofiarę”.

Podszedł do biurka, położył dłoń na wysokim stosie 6935 kartek rękopisu i mówił dalej sam do siebie:

„Nie zdziwiłbym się, gdyby Bóg nie chciał przyjąć ofiary mojej z Darwina, z Maxwella, z Thomsona, z Michelsona i Morleya, z Marxa i Engelsa, z Röntgena i Lorentza, z Zeemana i z Marii Curie Skłodowskiej. Ich wiedza pośrednia, we właściwy sposób ujmowana, wesprzeć może Kościół Boży a nie podważyć, jakeśmy tego niejednokrotnie w Pölätüomizmie naszym dowiedli. Czemu jednak Bóg nie chce przyjąć ofiary mojej z syna hrabiny Kostrowitskiej?”

Zastanowił się chwilę a potem ciągnął dalej:

„Tak, nie zdziwiłbym się, gdyby Bóg nie chciał przyjąć ofiary mojej z Marxa i Engelsa. Napisane jest: nie kradnij. I napisane jest: Nie pożądaj domu, ani żony, ani wołu, ani osła itd. Kościół broni własności prywatnej. Ale ta definicja kapitału, kapitału nie przynoszącego dywidendy,

jaka wypływa z Pisma, nie jest tą definicją kapitału, kapitału powstającego z koncentracji nadwyżek wartości, jaką podał Marx. Nie tego więc Kościół broni co Marx zwalcza”.

Przez chwilę kardynał Pölätüo zastanawiał się czy nie wziąć nowej kartki, kartki numer 6936, i nie zapisać tych myśli. Wyciągnął już nawet rękę po pióro, cofnął ją jednak.

„Forma — mówił dalej sam do siebie — nie może istnieć bez Materii (vide: T. Aq.). Lecz tak jak Materia porzucac może jedną Formę i sprzymierzać się z drugą, tak Forma porzucac może jedną Materię i sprzymierzać się z drugą. Posąg odlany z brązu można wykuć z marmuru. A jeśli wiedza pośrednia znajduje, że brąz rozpada się na atomy i ulatnia z powierzchni ziemi, to TRZEBA wykuć go z marmuru. Tako i świat ideostyczny Kościoła, odlany z materii Kapitału, przekuć TRZEBA w materię Proletariatu, skoro wiedza pośrednia znajduje, że świat kapitału rozpada się na atomy i ulatnia, królestwo zaś Proletariatu wszędzie na powierzchni ziemi.

„Nie zdziwiłbym się zatem, gdyby Bóg nie chciał przyjąć ofiary mej z Karola Marxa.

„Czemu jednak, o Boże, nie chcesz przyjąć ofiary mej z Guillaumea Poety?

„Azaliż nie widzisz, że on nieprzyjacielem jest Twoim największym?

„Azaliż nie powiedziała wiedza pośrednia, ustami Fredericka Engelsa, że choć warunki ekonomiczne są podstawą, to jednak rozmaite elementy nadbudowy — wpływają na rozwój historycznego borykania się i w wielu wypadkach determinują jego formy, i że ktokolwiek sądzi iż czynniki ekonomiczne są jedynym elementem, ten wypowiada zdanie bez sensu, abstrakcyjne, absurdalne?

„Azaliż nie dowiedliśmy w Pölätüomizmie naszym (vide: pagina 2975), że nawet martwy mechanizm kinetoscopu może, tak samo jak produkcja, wpływać na zjawiska życia społecznego, politycznego i duchowego, i że więc powinien być narzędziem kontrolowanym przez De Propaganda Fide?

„I wreszcie:

„Azaliż syn hrabiny Kostrowitskiej, nie martwym mechanizmem będący, a poetą uczynionym z mięsa, nie groźny jest bardziej aniżeli kinetoscopu śrubki, sprężynki i szkiełka?

„I znów:

„Azaliż, poeta uczynionym z mięsa będąc, potrafi nie rozwalać uświęconych form wiersza by ujrzeć we własnej perspektywie pejzaż nowego świata? Azaliż potrafi utrzymać się w mierze metra i nie znaleźć rytmu swojego czasu? Azaliż potrafi żyć pociągłymi spojrzeniami XIX wieku i nie zwielokrotnić swych oczu migającą optyką stulecia, które nadchodzi?

„A czyniąc to, choćby niewinnym na pozór obrazem, choćby niewinnym napozór jakiegoś *e muel* pogwałceniem, jakimś niewinnym na pozór buntem: naprzykład — przeciwko znakom przestankowym, czyż potrafi nie rozsiać wokoło ziaren wątpliwości w autorytetów niezachwianie; czyż potrafi nie zaszczyć podejrzania, że autorytetów tych antyteza może mieć wartość jako treść życia; czyż potrafi nie poruszyć tych właśnie, w których interesie jest pozostać przy dniu wczorajszym; azaliż potrafi nie przedstawić praw jutra, jak w bezpośredniej objawionych wiedzy; czyż więc, nawet wtedy kiedy chwalić będzie Ciebie, nie stanie się rewolucjonistą groźniejszym niż ci, co na wiedzy pośredniej oparci?

„Czemu nie chcesz przyjąć ofiary tej?

Kardynał Pölätüo przeszedł wolnym krokiem przez pokój. Kiedy mijiał mahoniowy słupek, na którym w majolikowej wazie stał zieleniejący drobnymi listkami asparagus, myśl nowa objawiła się w nim nagle:

„1° Syn hrabiny Kostrowitskiej urodził się w roku 1880 w Monaco —

rzekł powoli i głośno, jakby rachując każdą sylabę — ale przecież jeszcze w roku 1861 Victor Emmanuel sprzedał Monaco Francji.

„2^o List hrabiny Kostrowitskiej z roku 1881 wysłany był z Italii. ALE TO NIE JEST DOWÓD, że syn hrabiny Kostrowitskiej znajduje się OBECNIE w Italii!

I kardynał Pölätüo podszedł do okna, odsłonił firankę i zwrócił oczy ku niebu, aby podziękować Bogu za to, że nie powstrzymał ręki zamerykanizowanego anarchisty Gaetano Bresci, który wskoczywszy do powozu królewskiego wpakował 4 kule rewolwerowe w pierś Umberta I, i że w ten sposób powstrzymał rękę Króla, mającą w tym roku dokonać w Italii rzeźnia 20-letnich niewiniątek, wśród których NIE BYŁO Guillauma.

Po czym kardynał Pölätüo zasiadł do telefonu i w ciągu sześciu godzin łączył się kolejno z wszystkimi stolicami świata.

Tej nocy, z 29 na 30 lipca 1900 roku, oraz przez cały dzień następnny wszystek świat chrześcijański na całej kuli ziemskiej, we wszystkich diecezjach i parafiach, poszukiwał syna hrabiny Kostrowitskiej.

9.

— Kościół jest dla Action Française a nie Action Française dla Kościoła — rzekł Charles Maurras.

— To nie zmienia postaci rzeczy — odpowiedział Pölätüo.

— Nie zmienia?

— Nie. Gdyby Action była narzędziem Kościoła, uczyniłby pan to o co proszę, ponieważ bym tego żądał. Jeśli Kościół jest narzędziem Action — uczyni pan to, czego bym w przeciwnym wypadku żądał, ponieważ o to proszę.

— Eminencja powiedział mi, że zwraca się do mnie jako osoba prywatna, nie zaś jako przedstawiciel Watykanu.

— Tak — odrzekł Pölätüo — I dlatego zwracam się do pana jako do osoby prywatnej, nie zaś jako do przedstawiciela Action Française.

— Garçon! — zawołał Charles Maurras. Lecz kiedy kelner się zjawił, gestem odesłał go z powrotem. A potem rzekł:

— Wracając do Anatola Franca zapewniam Eminencję, że nie jest on tym, czym się wydaje ze swych książek. Odprowadzałem go w ubiegłym tygodniu pod Kopułę, na Pont des Arts zatrzymał się na chwilę i rzekł: „W gruncie rzeczy i ja jestem royalistą!”

— Pan France — odpowiedział kardynał — jest na tyle mądry, że zdaje sobie sprawę z biegu wypadków rzeczywistych i nie przeciwstawia im swoich osobistych skłonności, o których wie, że są wynikiem jego prywatnej autobiografii jedynie. Pan France jest na tyle mądry i skromny, że ceni swe własne opinie, czy też swe własne popędy emocjonalne mniej niż opinie i popędy emocjonalne swoich współczesnych. Pan natomiast, Monsieur Maurras, pan jest zarozumiały, pan miał swoją prywatną skłonność do wymyślenia sobie swych zasad, uwierzył pan w nie, i chce je pan za pomocą coup de force narzucić swoim współczesnym.

Charles Maurras stuknął pierścieniem w marmurowy blat stolika:

— A pan — wykrzyknął i, po pauzie, dodał — Eminencjo... Czy to co Eminencja narzuca swoim współczesnym nie wypływa czasem z prywatnych „autobiograficznych” skłonności Eminencji, nie zaś z potrzeb współczesności?

— Nie — odrzekł Pölätüo. Narysował palcem kółko na blacie stolika i, po chwili, powtórzył — Nie. Moje prywatne skłonności są inne... Ja chciałem być zegarmistrzem. Czy widział pan kiedyś zegar, zbudowany w roku 1379 przez Henryka de Vick dla Karola V-go? Taki zegar chciałbym skonstruować. Być może iż dziś zbudowałbym go z fal e.m. odkrytych przez Hertza, ale ten szczegół techniczny nie może pana interesować.

Ja tęsknię do tego, żeby być zegarmistrzem. Umiałem jednak tę moją skłonność osobistą obejrzeć sub speciae rzeczywistości i stałem się śrubką, kółkiem uchwytywym Wielkiego Uniwersalnego Zegara.

— Być może, że skłonność do stania się kółkiem — rzekł Maurras — była u Eminencji większa od skłonności do zostania zegarmistrzem. Ale wracając do śmierci prezydenta Félix'a Faure to przypominała ona śmierć arcybiskupa Paryża, Harley de Champvallou, z tym że rolę księżniczki de Lesdiguières odgrywała przekupiona przez żydów Dalila...

— Dlaczego wracać mamy do wszystkich spraw — przerwał mu Pölätüo — do wszystkich, za wyjątkiem tej jednej, o której ja chcę z panem pomówić.

— Eh bien! — wykrzyknął Charles Maurras niecierpliwie — Et alors! Czego pan chce ode mnie, Monsieur? Ja jestem intelektualistą, quand même! — wyciągnął dłoń przed siebie i rozczapierzonymi białymi palcami machał przed oczyma kardynała — Czy chce pan, żebym go udusił mymi własnymi rękoma, Monseigneur? Czy też życzy pan sobie, żebym go zrzucił z mostu do Sekwany? Czy mam mu wpakować zatruty sztylet pod żebro, czy też ołowianą kulkę w plecy? Czy mam kazać mym chłopcom żeby go zawiesili na latarni, czy też sam mu wsypać bakcyle cholery do kieliszka? Czy...

— Silence! — wykrzyknął kardynał nakazująco. Ściśniętą pięść opierał o blat stolika a z oczu jego sypały się błyskawice gniewu, pioruny oburzenia i trąby powietrzne niesmaku. Dopiero po paru długich chwilach kardynał Pölätüo położył ręce na kolanach, lewą na lewym, prawą na prawym, i rzekł spokojnie:

— Czy sądzi pan, że nakłaniałbym kogokolwiek do popełnienia morderstwa? Czy sądzi pan, że wziąłbym na siebie krew przelaną w zbrodni? Czy sądzi pan, że śmiałybym stanąć przed Bogiem splamiony grzechem bliźniego mego?

— Eh bien! — powtórzył Charles Maurras — W takim razie nic nie rozumiem. Mówił mi pan, Eminencjo, że z takich czy innych powodów nie wchodzę w to, chcesz g o usunąć z powierzchni ziemi. A teraz mówisz mi, że nie chcesz aby ktokolwiek popełniał dla ciebie grzech zabójstwa. Oto jest contradictio, którego nie rozumiem.

Na ławce, stojącej na brzegu chodnika, siwy podpity staruszek — na, melodię: „Casquette du Père Bugeaud” — śpiewał piosenkę z sierpnia ubiegłego roku:

Il paraît que la s'maine dernière,
Un dreyfusard très connu,
Comm'le général Brugère,
A reçu du plomb dans... l'dos.

As-tu vu
Le trou d'balle, le trou d'balle,
As-tu vu
Le trou d'balle à Labori?

Kardynał Pölätüo odsunął od siebie szklanekę grenadyny i rzekł:

— Powiedział św. Augustyn: „...wiedząc że ponieważ uczynili to w służbie wojskowej nie mordercami byli lecz ministrami prawa, nie mścicielami swych krzywd własnych, lecz obrońcami publicznego bezpieczeństwa, rzekł do nich”;

Powiedział św. Augustyn: „Kiedy człowiek w posłuszeństwie względem przełożonych swoich zamorduje człowieka, żadne prawo Państwa nie bierze go za mordercę”;

Powiedział św. Athanasius: „...zabić nieprzyjaciela w boju jest zarazem zgodne z prawem i godne pochwały”.

— Jeśli to ma znaczyć — rzekł Charles Maurras — że trzeba młodego Kostrowitskiego posłać na front, to pozwolę sobie zaznaczyć, że nie mamy teraz wojny.

— Zawsze jest gdzieś na świecie wojna — odrzekł Pölätüo.

— Eh bien — powtórzył raz jeszcze Maurras — Nie każda wojna jest słuszną i sprawiedliwą. Jeśli mamy cytować, to:

Powiedział św. Clement: „Jeśli wiara chrześcijańska spłynie na ciebie, który jesteś w zawodzie wojskowym, tego kapitana słuchaj, który wydaje s ł u s z n e rozkazy”;

Powiedział św. Tomasz z Akwinu: „Aby wojna mogła być sprawiedliwą, trzy rzeczy niezbędne są: Na pierwszym miejscu autorytet Księcia, który wydał rozkaz jej wszczęcia... Na drugim miejscu musi być przyczyna sprawiedliwa; co znaczy że ci, którzy zaatakowani zostali, musieli przewinieniem swoim zasłużyć na to, że zaatakowani zostali... Na trzecim miejscu niezbędne jest aby intencje tych co walczą były sprawiedliwe”. Ale jak Kostrowitski może się dowiedzieć że są sprawiedliwe?

Na ławce pijany staruszek śpiewał:

Toute la gendarmerie
Cherche l'assassin inconnu,
Qu'a eu cett'barbarie,
De blesser un homme au...l'dos.

As-tu-vu
Le trou d'balle, le trou d'balle,
As-tu vu
Le trou d'balle à Labori?

— Powiedział św. Augustyn — rzekł Pölätüo — „...jeśli tylko nie jest pewien, że wojna niesprawiedliwa jest, obowiązkiem obywatela jest popierać rząd swój, jako że autorytet świecki od Boga jest dany, i jako że obywatel do poznania wszystkich faktów materialnych zdaje się być mniej zdolnym niżeli przewodnicy jego”.

— To ostatnie na pewno, jeżeli przewodnikami jego nie są przypadkiem republikanie — odrzekł Maurras — Ale wracając do Kostrowitskiego, jest on obywatelem francuskim, a Francja nie prowadzi w tej chwili wojny. Skąd ma Kostrowitski wiedzieć dokąd pojechać, która wojna, z tych jakie się toczą na świecie, nie jest niesprawiedliwa?

— W każdej wojnie — odrzekł Pölätüo — jeśli napastnika sprawa niesprawiedliwa jest, to sprawiedliwą jest sprawa napadniętego albo też tego, co napadniętego broni.

Powiedział św. Athanasius: „Ten kto, jeśli zdolen jest, nie odpiera ciosu towarzyszowi swojemu zadawanego, tak winien jest jak ten, który cios zadaje”.

Charles Maurras zsunął pierścień z palca i puścił go w ruch obrotowy po marmurowym blacie stolika.

— A jeśli — rzekł — pošemy teraz Kostrowitskiego do Chin a on powie sobie w sumieniu swoim, że napadniętymi byli nie misjonarze chrześcijańscy i nie baron von Ketteler a Boxerzy i tych uzna za towarzyszy swoich, to co? Czy to Eminencji nie szkodzi, jeżeli zginie walcząc pod komendą Chińczyka?

— Powiedział św. Augustyn — odrzekł Pölätüo — „Człowiek może walczyć sprawiedliwie o utrzymanie pokoju publicznego pod rozkazami nawet świętokradzkiego człowieka, jeśli to co rozkazywane mu jest, albo jest nie sprzeczne z przykazaniem Boga, albo nie na pewno jest przeciw niemu”.

Pijany staruszek na ławce śpiewał:

A sa terrible blessure
L'avocat a survécu,
Quoique ce soit une chose bien dure
Que d'avoir un'ball'dans...l'dos.

As-tu vu
Le trou d'balle, le trou d'balle,
As-tu vu
Le trou d'balle à Labori?

— No dobrze — wykrzyknął Maurras — Założmy, że Kostrowitski pomaluje sobie twarz na żółto, że przyjmie obywatelstwo chińskie i że autorytet prefekta Szantungu pochodzi od Boga. To wciąż jeszcze nie znaczy, że będzie ch c i a ł się bić; wprawdzie powiedział św. Augustyn: „jeśli tylko nie jest pewien że wojna niesprawiedliwa jest, obowiązkiem obywatela jest popierać rząd swój”. Lecz powiedział więcej Francis de Vittoria w De Jure Belli: „Jeśli obywatel przeświadczony o niesprawiedliwości wojny jest, nie powinien służyć w niej, nawet na rozkaz Księcia... Żołnierzom także nie wybacza się gdy walczą oni w złej wierze... Z czego wniosek wypływa, że obywatele, których świadomość jest przeciwko sprawiedliwej wojnie, mogą nie zaciągać się na nią, niezależnie od tego czy mają rację czy są w błędzie. To jasne jest, ponieważ cokolwiek wiara nie jest, jest grzechem’.”

— Dlatego właśnie zwracam się do pana — rzekł Pölätüo.

Na ławce pijany staruszek śpiewał:

On court chercher pour l'extraire
L'éminent docteur Reclus;
Secondé par un confrère,
Il lui fait des fouill' dans...l'dos.

As-tu vu
Le trou d'balle, le trou d'balle,
As-tu vu
Le trou d'balle à Labori?

— Dlaczego? — spytał Maurras — Po co?

— Po to, żeby mu pan wytłumaczył, żeby go pan przekonał, że któraś ze stron jest słuszna. Obojętne która. Po to, żeby mu pan zaszczepił wiarę.

— Ja? — zdziwił się Maurras.

Pijany staruszek na ławce śpiewał:

M'sieur Doyen à la rescousse
Accourt; mais... turlututu,
Le blessé qu'avait la frousse
N'veut pas lui montrer son...l'dos.

As-tu vu
Le trou d'balle, le trou d'balle,
As-tu vu
Le trou d'balle à Labori?

— Tak — powiedział Pölätüo — Pan jest jedynym człowiekiem, który temu podola. Pan umie przemawiać do tej dzisiejszej młodzieży, umie pan trafić do niej. Kostrowitski ma 20 lat.

Pijany staruszek na ławce śpiewał:

Bref, après tant de souffrance,
L'avocat est revenu
Prendre sa place à l'audience
En gardant sa ball'dans...l'dos.

As-tu vu
Le trou d'balle, le trou d'balle,
As-tu vu
Le trou d'balle à Labori?

— Dobrze — powiedział Charles Maurras — Postaram się wysłać Kostrowitskiego do Chin. To załatwione. Ale wracając do Esterhazego i Schwartzkoppena, to...

Pijany staruszek na ławce śpiewał:

Il a fait une bell' harangue,
Son bagoût a reparu,
Y a rien qui délie la langue
Comm' d'avoir une ball' dans...l'dos.

As-tu vu
Le trou d'balle, le trou d'balle,
As-tu vu
Le trou d'balle à Labori?

10.

31 grudnia 1900 roku kardynał Pölätio otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym, na stronie trzeciej, czytał:

„...co do Kostrowitskiego, widziałem go osobiście wczoraj. Przedstawił mi się: Je suis Guillaume Apollinaire dit d'un nom slave pour vrai nom. O tym żeby jechać do Chin nie chciał słyszeć. Zresztą nie zdążyłby już pewnie, wygląda bowiem na to, że „Patriotyczne Harmonijne Pięści” poddadzą się, przyjmą ultimatum i zapłacą \$334.000.000 w złocie. Spróbuję jeszcze namówić go na Chili albo na Argentynę. Argentyna powiększa swą flotę a Chili zarządza pobór do armii i marynarki, przypuszczać należy więc, że tam miałyby szanse. Jeśli natomiast sprawa Kostrowitskiego nie jest dla Eminencji b. pilna, to znaczy: gdyby Eminencja mógł poczekać do roku ± 1917, rzecz rozwiązałaby się na miejscu, co, według mnie, pewne jest, z uwagi na uchwalone przez Niemcy 12. VI. b.r. Drugie Prawo Morskie, przewidujące 17-letni plan budowy floty.

Wracając do sprawy gabinetu Waldeck-Rousseau, „la loi du 30 Mars 1900” i fali strajków (à propos — jakie jest zapatrywanie Eminencji na to, żeby skłonić Kostrowitskiego do pracy w fabryce? — gdyby był zaangażował się na Martynice, miałyby szanse zginąć z rąk d'infanterie de marine 10.II; gdyby pracował był w Chalon-sur-Saône, miałyby szanse zginąć z rąk żandarmów 3.VI. etc. etc.) to sądzę, że zdanie Aristide Brianda...”

W roku 1901 kardynał Pölätio otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„...co do K., rozmawiałem z nim w tych dniach. Namawiałem go na wojnę Boerską, mówiłem o losie kolorowych robotników w Australii i zwróciłem uwagę jego na plany Anglików w królestwie Ashanti. „Ecoutez-moi — odrzekł — je suis le gossier de Paris, Et je boirai encore s'il me plaît l'univers...” I powtórzył: „s'il me plaît”. A potem dodał: „S'il me plaît, je peux le boir à Paris!” Co Eminencja sądzi o wysłaniu go na Daleki Wschód? Budowa kolei trans-syberyjskiej niewątpliwie doprowadzi tam do konfliktów. Kostrowitski miałyby więc szanse.

Wracając do osoby Jauresa, zwracam uwagę Eminencji, że...”

W roku 1902 kardynał Pölätio otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„...co do naszego K. obawiam się, że do Południowej Afryki już nie zdąży. Namawiałem go na Nigerię lub na Daleki Wschód, gdzie zdobycie nowoczesnej cywilizacji, kolej żelazna, powinna niedługo wydać owoce.

Bezskutecznie.

Wracając do sprawy wyborów z dn. 27.IV. i 11.V...”

W roku 1903 kardynał Pölätio otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„...co do K., na Daleki Wschód nie pojechał, lecz przewidywania moje sprawdziły się. Dziś, jak Eminencji już zapewne wiadomo, Rosjanie doszli do Yalu. W roku bieżącym byłbym skłonny posłać go do brytyjskiego Somali, lecz chciałbym wprzód wiedzieć, co Eminencja sądzi o Wenezueli ew. o Macedonii?”

Wracając do tego, że Emile Combes sprzeciwił się zniesieniu budżetu wyznań, Eminencja wie na pewno że Combes miał zostać księdzem i przygotowywał tezę na temat św. Tomasza z Akwinu, Eminencja nie powinien jednak wyciągać stąd wniosku, że sprawa likierów fabrykowanych przez ojców w Chartreux...”

W roku 1904 kardynał Pölättö otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„...co do K., w ogóle nie rozumie on co się dzieje w Port Arturze. Pacyfik nie wchodzi już w grę: Boliwia i Chile podpisują traktat. Próbowałem podsunąć mu inne miejscowości, gdzie także miałyby szanse. Rimbaud niewątpliwie dałby się skusić na sam dźwięk, na samo brzmienie: Lhassa-Ekumekus-Herrero!; Kostrowitski odrzekł: Je marche vers Auteuil, je veux aller chez moi à pied, dormir parmi mes fétiches d'Océanie et de Guinée. Je peux dormir chez moi.

Wracając do londyńskiej wizyty Léona Daudet u Jego Królewskiej Mości Księcia Orleanu, to odbyła się ona w Carltonie, nie w Savoyu, jeśli zaś chodzi o rzymską wizytę prezydenta Loubet u króla Italii, to sądzę, że ten ustęp pisma kardynała Merry del Val, z dn. 28.IV. b. r., który zaczyna się: *Par suite, si quelque Chef de Nation catholique infligeait une grave offense a 1 Souverain Pontife en venant prêter hommage à Rome à celui qui contre tout droit détient sa souveraineté civile... etc.* — może raczej przyspieszyć separację, to zaś...”

W roku 1905 kardynał Pölättö otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„...co do M'sieur K. — w sierpniu Japończycy zakończyli rzecz bez niego, we wrześniu proponowałem mu wyjazd do Mitylene, przedstawiłem mu też jak mogłem najponętniej wdzięki Serbii i Austrii rozpoczynających celną Wojnę Świńską, odrzekł że chyba i n n y m r a z e m, ponieważ spieszy się właśnie do pewnego angielskiego baru przy rue Amsterdam, gdzie ma spotkanie z el pintor P. R. Picasso i z Mr. Max Jacobem.

Wracając do wyroku Sądu Kasacyjnego z dn. 12.VII.b.r., proszę Eminencję aby zechciał wziąć pod uwagę, iż Dreyfus uniewinniony musi tym bardziej être informé qu'il n'est pas Français. *„Dehors les barbares!” c'est le nouveau cri national, i, jeśli Eminencja zechce sięgnąć w głębie zagadnienia, to...”*

W roku 1906 kardynał Pölättö otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„...co do K., sądzę że pojechałby do Natalu walczyć pod królem Zulusów z Anglikami albo pod królem Great Brytanii z Zulusami, — gdyby jednocześnie pojechał z nim métèque Picasso i żyd Jacob. Jakie jest zdanie Eminencji co do tej ewentualności?”

Wracając do mojej książki (dopiero co wydanej) „Le dilemme de Marc Sauguier”, sąd iż nie ma płaszczyzny na której ateizm i Kościół katolicki mogłyby...”

W roku 1907 kardynał Pölättö otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„...co do K., ani Persja, ani Nicaragua, ani Honduras, ani bomby angielskie w Casablance nie mogły ani na chwilę oderwać jego myśli od nowej kombinacji jaką jest pewna filozofia sześcianów, wynaleziona przez wspomnianego Picassa i niejakiego Mr. Bracques.

Wracając jednak do strajku kelnerów, to powinien Eminencja wiedzieć, że nie chodziło w nim jedynie o prawo noszenia wąsów i brody, głębszy aspekt...”

W roku 1908 kardynał Pölatüo otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„...co do K., sposobność jaką miałby w Bośni i Hercegowinie — stracił; to samo dotyczy potencjalnie Krety, Bułgarii i Venezueli. Nie powinien Eminencja zrażać się tym jednak, przeciwnie, polecam Jego uwadze listopadowy numer Daily Telegraph z wywiadem Cesarza, który nie krył, że podczas gdy on sam, Wilhelm, usposobiony jest przyjaźnie do Anglii, to naród niemiecki usposobiony jest wrogo. Zapewniam Eminencję, tak jak to już uczyniłem w roku 1900, że jeśli góra nie przyjdzie do Mahometa, to Mahomet przyjdzie do Kostrowitskiego.

Wracając do sprawy 100.000 frs. — Mme de Loynes zapisała je żonie Leona Daudet; wraz z 200.000 frs., zebranych inną drogą, poszły one na zmianę Action Française na pismo codzienne. Co się zaś tyczy organizacji Camelots du Roi, to czy Eminencja sądzi, że takie rzeczy jak wykłady Thalamisa w Sorbonie o Jeanne d’Arc albo przeniesienie zwłok Zoli do Panteonu, mogą być z punktu widzenia polityki...”

W roku 1909 kardynał Pölatüo otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„...co do K., ani Kongo ani nawet Maurytania nie działają na niego w tym sensie, jaki jest życzeniem Eminencji. Cierpliwości jednak, Eminencjo! Zgodliwe protokoły podpisane w listopadzie ubiegłego roku przez Niemców i przez M. M. Pichon i Clemenceau, nie świadczą bynajmniej iż Mahomet, o którym donosiłem Eminencji w roku ubiegłym, zatrzymał się w drodze. Wręcz przeciwnie. To samo dotyczy wyroku haskiego z 22.V.b.r. w sprawie niemieckich dezertów z naszej legii cudzoziemskiej...”

W roku 1910 kardynał Pölatüo otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„...co do K., nie bardzo go namawiam na dalekie Wandai ani itd. Mahomet zbliża się sam.

Wracając zaś do awantury z A. Briandem w związku ze strajkiem generalnym kolejarzy...”

W roku 1911 kardynał Pölatüo otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„...co do K., są szanse w Tripolitanii. Z Włochami przeciwko Turkom, albo z Turkami przeciwko Włochom. Osobiście jednak byłbym za zatrzymaniem go na miejscu: Mahomet nadchodzi wielkimi krokami. Już jest, jeśli można tak powiedzieć, na kanonierce Pantera, która stoi w Agadirze. W związku z tym polecam Eminencji przejrzenie numeru Action Française z dn. 2.VII.b.r.; chodzi mi o ten ustęp z artykułu Bainvillea: „ci, którzy uważają ten stan rzeczy za do przyjęcia, lub choćby do zniesienia, cierpią na brak umiejętności przewidywania. Dla tych z nas, którzy potrafią wejrzeć nieco w przyszłość, wojna wydaje się nieunikniona, JEŻELI RZĄD REPUBLIKAŃSKI POZOSTANIE U WŁADZY”.

Wracając do książki mej „Kiel et Tanger”, którą Eminencja zapewne już otrzymał...”

W roku 1912 kardynał Pölatüo otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym, na ostatniej stronie, czytał:

„...co do K., wierzę iż Eminencja może być zniecierpliwiony, widząc tyle możliwości w Trypolitanii, w Montenegro, na Bałkanach itd. Sądzę jednak, że Eminencja zdaje sobie sprawę iż rozmowy Cambon — Kiderlen-

Woecther i konwencja podpisana przez Herr Schöna i M. Poincaré w sprawie Marokka i Kongo, nie powstrzymają tego, co nazywamy w naszej korespondencji Mahometem zbliżającym się do Kostrowitskiego.

Jednocześnie z tym listem pozwałam sobie przesłać Eminencji moją nową książkę „La politique religieuse”, prosząc Eminencję, aby, wbrew niektórym innym autorytetom, nie...”

W roku 1913 kardynał Pölätüo otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„...co do K., Bułgaria, Rumunia, Serbia — dziecinne zabawy. Mahomet zbliża się. „Cette fois il faut en finir, et Votre Majesté ne peut se douter de l'enthousiasme irrésistible qui, ce jour — là, entrainera le peuple allemand tout entier” — powiedział von Moltke do króla Belgii. Pod owym „le peuple allemand tout entier” — miał niewątpliwie na myśli także i tych „towarzyszy” zza Renu, którzy przyrzekają naszym socjalistom nigdy nie głosować za budżetem wojennym.

Wracając do dekretu Kaisera, brzmi on:

„My, Wilhelm, z Bożej Łaski Cesarz Niemiec... postanawiamy, że będzie:

(1) Flota wojenna, składająca się z:
etc. etc.”

P.S. Pozwałam sobie, przesłać Eminencji książkę Leona Daudet: „L'Avant Guerre, Artykuły i Essaye o Niemiecko Żydowskim Systemie Szpiegowskim we Francji od czasu Sprawy Dreyfusa”.

P.S.2. Zapewniam Eminencję, że M. Daudet ma zwyczaj palić listy i nie pamiętać nazwisk swoich korespondentów”.

W roku 1914 kardynał Pölätüo otrzymał od Charles Maurrasa list, w którym czytał:

„Ca y est!! MAHOMET PRZYSZEDŁ DO GÓRY!

P.S.: W związku z „potępieniem” jakie w styczniu b.r. Pius X uważał za wskazane rzucić na Action Française, sędzę że teraz mogę zwrócić uwagę Eminencji na to, iż...”

W roku 1916 Guillaume (Kostrowitski) Apollinaire został ranny odłamkiem pocisku w głowę. Dwa razy trepanowano mu czaszkę, ale zmarł na hiszpankę, w szpitalu, 11 listopada 1918 roku.

CODA

Otrzymaawszy wiadomość o śmierci Kostrowitskiego kardynał Pölätüo postanowił zabrać się z powrotem do pisania Filozofii Pölätüomizmu, przetrwanej w roku 1900. Zorientował się jednak, że w międzyczasie Wiedza Pośrednia, będąca podporą Wiedzy Bezpośredniej, co było istotą Pölätüomizmu, wyprzedziła go znacznie, nie tracąc więc czasu zabrał się szybko do studiowania Plancka, Thomsona, Ramsay'a i Saddyego, Einsteina, Rutherforda, Punnetta i Batesona, Russella i Whiteheada, Moseleya, Watsona, Bragga i teorii odruchów warunkowych Pawłowa.

A potem (był to zaś rok 1922 i Pölätüo obchodził setną rocznicę swych urodzin) wziął do rąk Św. Augustyna (A.D.412) *Ad Marcellinum* i czytał:

„Niechaj ci, którzy mówią, że nauka Chrystusa nie w zgodzie jest z dobrobytem Państwa, dadzą nam armię złożoną z żołnierzy takich, jakimi żołnierze według nauki Chrystusa być powinni. Niechaj dadzą nam poddanych takich, takich mężów i żony, takich rodziców i dzieci, takich panów i sług, takich królów, takich sędziów, tak, nawet płatników takich i poborców, o jakich religia Chrześcijańska sądzi że powinni być, i niech kto ośmieli się wtedy powiedzieć, że nauka Chrześcijańska dobrobytowi Państwa przeciwna jest. Niech raczej nie wahać się dłużej przyznać iż gdyby nauka ta słuchana była, byłaby zbawieniem Państwa”.

— Czy nie można by zastosować teorii odruchów warunkowych do nauczania Chrześcijaństwa? — zastanowił się Pölätüo.

Załóżyl arkusik papieru na swojã la macchina da scrivere i wystukał dwoma palcami:

Do tego żeby wywołać odruchy, potrzebne są bodźce.

Bodźce mogą być pozytywowe i negatywowe, exemplum: pokarm i ból.

Te bodźce są w rękach władzy doczesnej, świeckiej.

Zastanawiał się chwilę, a potem stukał dalej:

Ale przecież człowiek nie jest psem.

Człowiekowi nie potrzebne są bodźce materialne.

Człowiekowi wystarczy powiedzieć, że będzie nakarmiony, albo że będzie go bolało.

I te bodźce, Pozytywowe i Negatywowe, są dostępne rękom Kościoła.

Dzwonek maszyny wydzwoił koniec nowego wiersza. Pölätio przekreślił wałek. I nagle palce jego zaczęły same biegać po klawiszach:

Ale przecież one SA w rękach Kościoła. Raj i Piekło!

Pölätio uderzył wykrzyknik i w ekstazie wielkiej zadziwił się nad Mądrością Kościoła, któremu wszystko to co dotyczy Człowieka, znane było na dziesiątki setek lat przed odkryciami Wiedzy Pośredniej. I przy tej Mądrości leżące obok 6935 kartek Filozofii Pölätuomizmu wydało mu się pyłkiem nieskończenie małym. Oparł się wygodniej o poręcz fotela i trwał tak długą chwilę. Lecz myśl jakaś nowa nurtowała w nim. „Jeśli jednak — zaczął porządkować swe słowa — Jeśli jednak bodźce te SA w rękach Kościoła od dwóch tysięcy lat, to dlaczego żołnierze i poddani, mężowie i żony, rodzice i dzieci, panowie i sługi, królowie, sędziowie, płatnicy i poborcy nie są tacy jacy według nauki Chrystusa powinni byli...”

Ochrząknął i wyciągnął dłoń by wystukać to zdanie na maszynie, lecz w międzyczasie, między ochrząknięciem i dotknięciem klawisza, przyszło mu na myśl co innego.

MAREK CELT

KONCERT*

Izba jest zwykła. Czysta i zimna. Pachnie wapnem i jedliną.

Naprzeciw drzwi jest okno, wychodzące na ośnieżony sad. W kącie na prawo niewysoki, na biało pomalowany piec. Na lewo — w drugim kącie — ładnie ubrana choinka. Mieni się różnymi barwami papierowych łańcuchów i szklanych kul. Między drzwiami a oknem stoi długi stół, niedawno zrobiony z prostych, heblowanych desek. Ciągnie się przez prawie trzy czwarte pokoju, zostawiając tylko trochę miejsca na przejście koło drzwi i koło okna. Krzesel nie ma. Ściana na prawo od drzwi jest gładka, wisi na niej portret Hitlera. W ścianie na lewo jest drugie okno. Wychodzi na podwórze i stodołę.

Korowód nasz sprawia wrażenie pogrzebu. Wszystko dzieje się strasznie powoli. Wydaje mi się, że gdzie spojrzę, widzę ekran, na który obrazy filmu rzucane są w zwolnionym tempie. Ja sam jestem aktorem. Podnoszę powoli nogę, namyślam się długo, wyprężam twarz w grymasie natężonej uwagi, opuszczam nogę. Słychać niemrawy, nieregularny tupot nóg.

Idący przed nami żołnierz jest także aktorem tego filmu. Mija stół na prawo, obraca się, staje, wyciąga do nas powoli lewą rękę i wskazuje, gdzie mamy się ustawić. Słyszę „links”.

Buka stanął tuż obok drzewka, naprzeciw pierwszego żołnierza, opierającego się o piec. Obok Buki ja, koło mnie na prawo Maciej, dalej prawie w samym rogu Doktor. Naprzeciw mnie uplasował się drugi żołnierz, naprzeciw Macieja feldfelbel, tuż obok drzwi żołnierz trzeci. Przez chwilę —

* Por. część I-sza w zeszytcie 3-cim „Nowej Polski”.

ułamek sekundy — patrzymy sobie w oczy. Żołnierze mierzą w nas z karabinów.

Za plecami mam okno. Oglądałem się szybko i spojrzałem na podwórze. Psy bawily się w śniegu, baraszkowały i gonily się nawzajem; oficerowie rozmawiali ze sobą, paląc papierosy; dwaj żołnierze szli w kierunku stodoły.

Pada ostry głos:

— „*Und jetzt* — ręce do góry!”

Gwałci dziwny spokój swym okropnym, gardłowym brzmieniem.

To feldfebel rozkazuje. Nikt z nas nie drgnął nawet. Krótka, przejmująca cisza — nieruchome postacie przede mną wyginają się bezszelstnie w koszarne kształty, twarze wydają się upierne. Słabo mi. Ciemno!

Chociaż nikt nie robi najmniejszego ruchu, film o zwolnionym tempie już skończony bezpowrotnie. Myśli pędzą mi po głowie, jak tabuny dzikich koni. Już myślę, myślę!

Czy zaczynać?

Nie, nie jeszcze — woła coś we mnie — przecież żołnierze mierzą w nas z karabinów, a feldfebel z parabellum. Niepodobieństwo!

Zawsze będą mierzyć! Zaczynaj! — rozkazuje inny głos.

Na co czekasz? Zde-cy-duj się!

Nie mogę. Nie mogę zdobyć się na żaden ruch. Napięcie wzrasta do maksimum...

Nagle Buka krzyczy:

— Jak to ręce do góry? Ja jestem wolny obywatel. Pokazywałem dowód osobisty.

Ten „wolny obywatel” był tak kapitalny, że aż — ni stąd ni zowąd — uśmiechnąłem się. „Wolny obywatel”! Napięcie zelzało. Uff, jakoś mi łatwiej, odzyskałem równowagę. Feldfebel błysnął złowrogo krwią nabiegłymi oczami i mruknął coś pod nosem. Wyminął żołnierza, obszedł stół od strony drzwi, przeszedł przed Doktorem i Maciejem, otarł się o mnie. Właził między mnie i Bukę. Przyłożył mu pistolet do brzucha i powiedział dobitnie:

— *Duuu, Hände hoch!*

Jeszcze jedno drgnięcie ręki Buki, sięgającej niby to po dokumenty do lewej wewnętrznej kieszeni płaszcza, a będzie on nadziany kilkoma kulami.

Przede mną czarno-zielony mundur feldfebela. Teraz!... Wyszarpnąłem Colt'a z kieszeni... dwa pociągnięcia spustu, dwa krótkie strzały w płeć z kilku centymetrów odległości. Tak! Tak!

Rozpętałem burzę. Strzelił Maciej — zaczęli strzelać wszyscy. Huk zrobił się niesamowity, ciągły. Śmierdzi proch. Wszystko dzieje się szybko, coraz szybciej, zawrotnie szybko, *allegro furioso*...

Feldfebel obraca się powoli, wrzecionowato, samą tylko górną częścią ciała. Widzę twarz przerażoną, jakby zdziwioną. Pistolet wypadł mu z ręki, nie oddał ani jednego strzału. A Buka już się przyłączył do strzelaniny. Niemiec przekręca się tułowiem, stopy stoją na miejscu. Wygląda jakby upatrywał sobie miejsce, gdzie ma upaść. Strzeliłem trzeci raz w skrzyżony brzuch. Grzmotnął na twarz tuż pod moje nogi.

Naprzeciw mnie — patrzę szybko — koniec, śmierć! Żołnierz spod pieca mierzy we mnie. Zaraz strzeli. Lufa jego karabinu jest tak blisko, że gdyby miał na niej bagnet, mógłby mnie z łatwością przebić. Nie zdążę podnieść ręki.

Wypalił. Huk, płomień, trochę dymu. Ale ja nie czuję absolutnie nic. Nie trafił mnie, czy też poczuje dopiero później. Dzika radość mnie rozpiera... Nie trafił!

Strzeliłem doń dwa razy. Jedna kula rozorała mu lewy policzek, efektu drugiej nie widzę. Albo poszła w pierś lub w brzuch, — albo chybiłem.

Oddałem następne dwa strzały do drugiego żołnierza i jeden do trze ciego który właśnie stara się otworzyć drzwi. Ucieka; ranny, ale ucieka. Żołnierz spod pieca musi już być dobrze nadziany kulami. Jednakże zdążył jeszcze zarepetować karabin. Upadł pod okno...ukłął... przyparł się plecami do pieca i, oparłszy karabin o stół, mierzy w Doktora.

Colt mój już nie strzelił — magazynek pusty. Odepchnąłem Bukę na drzewko i wymijając stół, zdążyłem jeszcze całym zamachem lewej nogi kopnąć kłęczącego Niemca w podbródek ciężkim podkutym butem. — Syknąłem krótko. W lewą pachwinę ukaślił mnie nagły ból. Przeszedł przez całą lewą nogę i minął. Jestem już przy żołnierzu. — Kompletny *knock-out*. I ten już także nie zdążył strzelić, upadł w tył na piec, zostawiając karabin na stole. Doktor wydał dziki okrzyk szalonej radości i chwycił karabin ze stołu, ja zaś dopadłem swej ofiary. Lufą Colta walilem bez opamiętania w głowę żołnierza. Z początku jęknął kilka razy, odruchowo podniósł ręce do głowy, jakby się chciał zasłonić, potem się uspokoił.

W międzyczasie uciszyło się zupełnie. Zdziwiony oglądałem się na izbę. Przy drzwiach leżał żołnierz. Maciej wybiegał właśnie do sieni, za nim wypadł Doktor z karabinem, za nim mignął Buka — rozjuszony jak byk i wrzeszczący coś nienaturalnym głosem. Wybiegłem za nimi.

Na podwórzu nie było po Niemcach i psach ani śladu.

Maciej pobiegł w kierunku polskiej wsi — krew znaczyła jego ślady — był ranny. Trafiła go widocznie ta właśnie kula, która była przeznaczona dla mnie.

Sadem ktoś biegnie — jakiś żołnierz goni bez czapki, bez broni. Doktor złożył się z karabinu, strzelił — chybił. Żołnierz wprawdzie upadł, przestraszony strzałem, ale podniósł się jeszcze prędzej i zygzagami pędził pomiędzy drzewa.

„Cholera, spudlowałeś”, — krzyczy Buka. Wyrывa karabin Doktorowi, strzela. Efekt dokładnie taki sam. Żołnierz pada, zrywa się, biegnie. Klnąc chwytam karabin z rąk Buki, repetuję, mierzę i... tylko suchy trzask iglicy, nie ma już naboju.

Oddaję bezwiednie karabin Doktorowi, ten wyszarpuje zamek, rzuca go w dużą zaspę śniegu, chwytając karabin za lufę i rżnie nim o węgiel domu. Trzasnął — złamał się na pół.

Gdzież się reszta Niemców podziała? Rozglądam się wkoło. Nie ma nikogo.

Serce mam przepelnione jakimś dziwnym uczuciem. Początkowo dominuje ogromne zdziwienie z powodu zniknięcia Niemców z podwórza; potem zwycięża mieszanina radości, nadziei, wdzięczności. Śmieję się jak opętany. Cieszę się, że się „koncert” udał, że może uciekniemy, że pierwszy zacząłem strzelać, że uratowałem życie Buce i Doktorowi.

Wykrzykuję coś w rodzaju: „Aleśmy im dali! Ale był koncert!”

Ładuję nowy magazynek i repetuję. Biegniemy wszyscy trzej krwawymi śladami Macieja. Jest on już daleko przed nami w połowie drogi do najbliższej polskiej chaty. Nagle odwraca się i woła przerażonym głosem:

„Jezus, Maria — moja teczka została na stole!”

Staaliśmy. Zrobiła się krótka, przykra, przejmująca cisza. Spojrzeliśmy sobie w pobladłe twarze. Nikt nie zrobił ruchu w kierunku strażnicy. Przecież tam śmierć... Tam musi być reszta Niemców. Pewnie już przyszli do siebie i zaraz złączą działać.

Nagle pomyślałem, że jestem najmłodszy. Uczułem wstyd, że się ociągam. Całym pędem zawróciłem do strażnicy. Biegnę — rozglądam się — boję się.

Wpadam na schody, do sieni, w otwarte drzwi do lewej izby. Chwytam szybko torbę ze stołu, zgarniam rękawiczki Buki, które nie wiem jakim cudem znalazły się na stole. Wracam.

Jeden rzut oka na trupy. Uczucie triumfu, że już wstrętny, czerwony, spocony feldfebel nikomu nie zagrozi pistoletem — coś jakby litość, że tak strasznie, aż do mózgu, rozwalilem głowę żołnierzowi spod pieca. A trzeci trup — trup żołnierza spod portretu Hitlera? Ależ to nie trup!... Ranny, stara się właśnie wyczołgać przez drzwi. Jest już połową ciała w sieni.

Rozwściekliłem się nagle i, dopadłszy uderzyłem, go kilka razy w głowę łufą pistoletu. Łypnął oczyma i leżał bez ruchu.

Otworzyły się drzwi prawe — pokazała się biała twarz jakiegoś cywila, ubranego w brązową marynarkę. Podniosłem głowę znad leżącego żołnierza, zagroziłem cywilowi pistoletem. Drzwi się zatrzasnęły, kroki zadudniły za nimi.

Dlaczego nie strzeliłem? Coś mnie powstrzymało od tego. Zastanawiałem się później nad tym i doszedłem do wniosku, że to ubranie cywilne tak na mnie podziałało. Dotychczas każdy wróg był w mundurze.

Wybiegam ze strażnicy — i na schodach spotykam Bukę. Wrócił jednak. Coś, jakby uczucie wdzięczności i tklivości, zajmuje miejsce bojowego uniesienia.

Oddaję mu rękawiczki. Biegniemy. Dopiero teraz czuję zmęczenie i ból całej lewej skaleczonej ręki. Ustaję trochę... Znow się zrywam. Dobiegamy wreszcie do pierwszej zagrody.

Na podwórzu Maciej dyryguje prawą ręką. W lewą ranny. Stary chłop-Polak, przestraszony tylko z początku, zakłada ochotnie konia do wozu. Około piętnastoletni chłopiec trzaska już z biczem. Widać po nim, że się trochę boi, ale jeszcze bardziej cieszy.

Ruszamy. Maciej, osłabiony upływem krwi, leży na słomie koło parobka.

Znowu obejmuję komendę. Właściwie sama mi wchodzi do rąk, bo nikt nic nie mówi, a mnie jest wesoło i dobrze i wciąż gadam. Polecam Doktorowi obserwować lewą stronę, Buce prawą. Sam, siedząc na tyle wozu, obserwuję strażnicę i drogę.

Jestem przekonany, że za chwilę zacznie się druga część „koncertu”. Za pięć minut. Za dziesięć. Ale już jestem prawie pewny, że umkniemy. Jesteśmy po polskiej stronie, wszędzie pełno chat, ucieczka możliwa.

Sytuacja jest lepsza o całe niebo od tej sprzed godziny. Zaczynam już sobie stwarzać koncepcję dalszej ucieczki i walki. W najgorszym razie wrzucę gdzieś, w jakiś rów, pas i gwoździe z pieniędzmi, i — wolny już od balastu i pewny, że nic nie wpadnie Niemcom w łapy — będę mógł biegać, walczyć, uciekać. A tymczasem, dokąd tylko można, trzeba korzystać z konia. Bogu dzięki, nie musimy iść na piechotę.

Ale radość z naszego środka lokomocji szybko się kończy. Koń stary, słaby, biegnie coraz wolniej, staje. Walony batem, biegnie znowu, potyka się... wreszcie upada. Nie może już wstać.

Doktor pyta szybko chłopca, gdzie można dostać lepsze konie. Ten wskazuje pierwszą z brzegu chatę. Maciej mówi, żebym pobiegł tam z Buką, a on z Doktorem zostanie na wozie.

Obiegam dom dookoła i od strony podwórza wchodzę do sieni i do izby na prawo. Cała liczna rodzina chłopska je śniadanie. Gorączkowo rzucam słowa:

—Gospodarzu, dajcie nam natychmiast konie.

Gospodarz, olbrzymi chłop, podnosi się zza stołu.

—Konie? Jakie konie? — pyta.

Nie mam ani chwili czasu do stracenia. Wyciągam pistolet i wołam:

—Dawajcie konie, bo was zastrzelę. My nie mamy czasu.

Dzieci płaczą. Wpada Buka i widząc, że ja już grożę bronią, wyciąga także Colt'a i krzyczy:

—Dawajcie konie; prędko, prędko.

Pierwsza zorientowała się młoda gospodyni. Wstała z ławki z dzieckiem na rękę i rzekła do męża:

—Dajże im prędko konie. Nie widzisz, że swoi, że Polacy.

W gardle mi coś stanęło. Jestem bardzo wzruszony. Gospodarz wybiega z Buką i parobkiem, dzieci drą się jak opętane, — a ja dziękuję gospodyni za pomoc. Opowiadam jej krótko, co się stało. Jest przejęta niesłychanie i płacze. Mówi, że słyszała dwa strzały. Aha — to wtedy, gdy Doktor i Buka strzelali z karabinu.

Częstuję dzieci kostkami skondensowanego mleka. Boją się, matka także patrzy z nieufnością. Aby je zachęcić, jem sam kilka kostek, mówiąc, aby się nie bały, bo to nie trucizna.

Dzieciom smakuje — uśmiechają się przez łzy. Kobieta głośno błogosławi nas, trzęsie się cała. Wychodzę na podwórze. Kończymy za-przęgać dwa rosłe konie do drabiniastego wozu. Jaka szkoda — myślę — że śnieg nie jest na tyle głęboki, by można już było jechać sankami.

Gospodyni myśli to samo. Pochlipując wciąż, mówi komicznie:

—Szkoda, że nie ma sanny.

Nadchodzi Maciej. Cała lewa strona płaszczka złana krwią, zamarzającą natychmiast. Dziw, skąd się tyle krwi bierze. Twarz blada i smutna, ale widać, że przychodzi już do sił. Za chwilę nadchodzi Doktor i nasz dotychczasowy młody woźnica. Dajemy mu 20 dolarów, pouczając szybko, jak ma się w przyszłości zachowywać i co mówić; gdy go Niemcy będą badać. Chłopak jest wzruszony. Zalany łzami, odchodzi do swego konia.

Wsiadamy na wóz w tym samym, co poprzednio porządku. Każemy powożącemu parobkowi omijać Kiernozię, gdzie — według informacji gospodarza — stacjonują żandarmi niemieccy, i jechać polnymi drózkami w stronę Łowicza.

Wóz trzęsie się na twardej, zmarzniętej grudzie, podskakuje co chwilę na nierównościach. Dopiero teraz przypominam sobie, że mam skaleczoną rękę. Boli coraz bardziej. Ale to nic, bo radość mnie rozpiera, że znów jesteśmy na wozie, że jedziemy, a nie idziemy. Uwierzyć mi się nie chce, że to wszystko prawda. Uśmiecham się do siebie i szeptem dziękuję Panu Bogu za pomoc. Tak mi jasno w głowie — tak dobrze...

Myślę o tym, czy zastosowaliśmy dobrą taktykę. Musiała być chyba dobra, bo wyniki są dobre. A jeśli jest w tym wszystkim coś nielogicznego, no to cóż. Są przecież takie chwile, że motywy logiczne przestają grać rolę decydującą. Że myśli się innymi kategoriami, niż normalnie. Zresztą to była intuicja, a wszakże Bergson udowadnia supremację intuicji nad logiką.

W obecnej chwili wiem tylko tyle, że jestem wesół jak szczygiel; że cały świat do mnie należy, bośmy dali Szwabom szkołę. Czasem myślę o tym, że śmierć przeszła ode mnie o cal, o włos, że jeszcze może się o nas wszystkich otrzeć. Ale to nic. Jestem szczęśliwy. I sprawdzam na sobie prawdziwość francuskiego powiedzenia: „*On n'est jamais aussi près du bonheur, qu'en couloyant la mort*”.

Przy jakimś większym wyboju palec zabolął mnie porządnie. Wracam do rzeczywistości.

Na wozie raczej cisza. Doktor opatruje ranę Macieja. Jest ona dość powierzchowna, ale upłynęło mu wiele krwi. Rozmawiamy mało. Siedząc na samym końcu wozu, plecami do kierunku jazdy, obserwuję teren. Spuszczone nogi zasypuje mi śnieg, wyrzucany spod kół.

Moje gwizdanie denerwuje kolegów. Zaczynam trochę dowcipkować, próbuję obrócić wszystko w żart, czuję zresztą coraz wyraźniej, że nadzieja na uratowanie jest z każdą minutą większa. „Rozdziobią nas kruki, wrony...” — coraz rzadziej przychodzi mi do głowy. Coraz częściej zaś chełpliwe hasło szkockich Black Watch'ów: „*Nemo nos impune lacesset*”

Mijamy co pewien czas jakieś chaty. Ludzie przyglądają się nam, wychodzą z domów, komentują między sobą nasz przejazd. Musimy tworzyć co najmniej dziwną grupę. Maciej chowa swój skrwawiony płaszcz i rękę, jak może. Ludzie idą do kościoła. Nie, raczej wracają z niego. Dobiega już przecież południe.

Wyjeżdżamy na pola. Potem znowu chaty — i znowu pola. Na krańcu widnokągu kilka niewielkich łasków.

Z boku, z daleka, słyszymy samolot. Po chwili już go widzimy. Leci dość nisko. Widać wyraźnie czarne krzyże. Sunie prostopadle do naszej drogi i przetnie ją tuż nad nami. Czyżby pogoń? Lekki dreszczyk przebiega przez krzyże. Nie. Niemożliwe. Za mało czasu upłynęło od „koncertu”. Zacznie strzelać? — Nie, już nas minął. Znika powoli w oddali, stapia się z widnokągiem. Jedźmy spokojnie dalej.

Po pewnym czasie wjeżdżamy w głęboki rów. Wóz wywraca się, padamy wszyscy w śnieg. Ręka mnie boli od uderzenia, zły jestem i klnę woźnicę który sprawia wrażenie głupkowatego. Gramolimy się na wóz i jedziemy dalej. Okazuje się po kilku minutach, że Maciej zgubił w rowie mapę. Niepodobna wracać po nią.

Mamy urozmaicenie. Na widnokągu — na ukos z tyłu — trzy postacie. Idą tą samą szosą, którą my jedziemy, i w naszym kierunku. Buka i Doktor twierdzą, że to na pewno cykliści niemieccy. Na wszelki wypadek sprawdzamy wszyscy broń, ale po chwili śmiejemy się już z tego. Rzekomi cykliści okazali się trzema kobietami, idącymi spokojnie szosą.

Przed nami widać dwa rzędy drzew. To szosa Łowicz-Kiernozia, jak nas objaśnia parobek. Za chwilę trzeba będzie skrócić w lewo, bo szosą jechać niebezpiecznie.

Ale nie było już nam dane podróżować dalej wozem. Wjechaliśmy znowu w rów, oś pękła i dalsza jazda była niemożliwa. Poszliśmy dalej na piechotę, obdarowując chłopca dolarami i pouczając, co ma mówić Niemcom w razie badania.

Po oddaleniu się o kilkadziesiąt metrów od wozu zadecydowałem, że niebezpiecznie będzie iść dalej czwórką. Musimy się rozbić na dwie dwójki. Proponuję podział następujący: Maciej — jako ranny — pójdzie z Doktorem, a Buka ze mną. Wszyscy wyrazili zgodę na mój projekt.

Pożegnaliśmy się serdecznie, choć krótko, i rozeszliśmy się. Widziałem ich potem już tylko raz jeden i to z dużej odległości. Na tle śniegu wyraźnie rysowały się dwie sylwetki: jedna wysoka Doktora i druga niższa Macieja, obie silnie obciążone i dlatego wyglądające nienaturalnie. Przypomniało mi to, że i my wyglądamy podobnie — konieczność więc trzeba się pozbyć naszego bagażu, zakopać gdzieś wszystko, dobrze zapamiętać miejsce, i pójść już swobodniej do Warszawy — z bronią tylko. Jakże daleka wydała się nam ta ukochana Warszawa, jakże nierealna!

Buka zgadza się na zakopanie rzeczy. Pozostaje tylko znaleźć odpowiednie miejsce — podwójnie pewne: ze względu na Niemców i ze względu na konieczność późniejszego odszukania rzeczy. Zmierając w tym celu ku niezbyt odległemu lasowi, przecinamy szosę: Łowicz — Kiernozia, przechodzimy pomiędzy zabudowaniami jakiegoś folwarku i bniemy dalej po śniegu. Po chwili wchodzimy na udeptaną ścieżkę. Ludzie z folwarku przyglądają się nam podejrzliwie, pokazują nas sobie palcami, coś mówią. Denerwuje mnie to — postanawiam jak najszybciej pozbyć się ładunku.

Przskakujemy przez głęboki rów i wreszcie dochodzimy do lasu. Oznajmiam Michałowi, że tu schowam swoje gwoździe i pocztę (jako najcenniejsze), a pas i paczkę z markami jeszcze narazie zatrzymam przy sobie. Wydobyłem wreszcie także ukryty dotąd w tylnej części spodni spory płat sukna, który przy skoku spełniał funkcję kawałka gumy, ochraniającego kość ogonową, a teraz przydał mi się bardzo, jako ochrona przed zimnem,

coraz bardziej dającym się nam we znaki. Wyglądało na to, iż było około minus 25° Celzjusza.

Uklękawszy pod jednym z drzew na skraju lasu, przytrzymałem się go jedną ręką, a drugą sięgnąłem jak najdalej od niego, wygrzebując w śniegu głęboki dół. Potem, sięgając w tył do „gwóździ” ułożonych poza mną na suknie, brałem jeden „gwóźdz” po drugim, wbijając każdy w dno dołu i przysypując lekko śniegiem. Chodziło mi o to, aby nie robić śladów, po których ewentualna pogoń mogłaby trafić do naszej skrytki. Po chwili dotek był wyrównany. Wstałem i przeciągnąłem się. Byłem znużony i zmarnięty. Czekałem niecierpliwie, aby Buka skończył chowanie swoich „skarbów”.

Z lasu było widać samotne, zamożne gospodarstwo, dość daleko od wsi, a blisko od drugiego, większego lasu. Pomyślałem że dobrze będzie tam zaść, wypytać mieszkańców o wszystko, co nam potrzebne, zjeść coś ciepłego i zagrzać się trochę. Wtedy dopiero pójść dalej. Buka wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego i zmarniętego, niż ja. Był siny.

Pomimo to kategorycznie sprzeciwił się memu planowi. Uważał, że to „samobójstwo”, że należy jak najszybciej uciekać, gdyż pogoń może być tuż, tuż.

—Ale dokąd będziesz uciekał? — pytam.

—Do tego tam lasku — a potem do następnego

—A czy wiesz, że to na pewno dobry kierunek?

—Dobry — zresztą spytamy kogoś.

—Otóżto — spytamy właśnie w tej chacie, bo może trzeba będzie iść w kierunku wprost przeciwnym, niż ten i następny lasek. Ja idę do chaty, — czekaj na mnie w tamtym lasku. *Good-bye!*

Buka był zdenerwowany. Mruknął ze złością:

—Przestałbyś się wygłupiać z tym angielskim szwargotaniem. Niech ci się w chałupie coś takiego wyrwie, a wszystko będą wiedzieć o nas. Uważaj na siebie.

—*Sorry* — odrzekłem bezwiednie i nakrywszy dłonią roześmianą gębę, wymamrotałem: „*Verzeihung*”. Wyszedłem z lasku. Do uszu moich doszedł jeszcze gderliwy głos:

—W Anglii — to ani be, ani me. Tutaj — wszystkie angielskie rozumy pojadł. Lord, psiekrew!

Pies ujadł gwałtownie, szarpiąc długim łańcuchem. Serce biło mi silnie, w głowie szumiało. Odgłosy sprowadziły na podwórze starą babulkę, która — zdziwiona trochę — zapytała mnie, czego sobie życzę.

Zapytała po polsku.

Kamień spadł mi z serca. Odrzekłem, że chciałbym się trochę zagrzać, bo łażąc za tym przeklętym handlem zmarzłem na kość.

—Czy mogę?

—Ale pewnie. Gość w dom — Bóg w dom.

W izbie było gwarno i ciepło. Trzej chłopcy w wieku około 12 lat grali w „oczko” starymi, zatłuszczonymi kartami. Młody gospodarz, syn gościnniej kobiety, czytał coś przy oknie — małe dziecko spało w kołysce.

Przez głowę przemknęła mi myśl, że może sprowadzę nieszczęście na ten spokojny, chłopski dom. Przemogłem się jednak i, pochwalivszy Boga, usiadłem spokojnie na podsuniętej mi przez gospodarza ławie.

—Z Warszawy?

—Tak, z Warszawy.

—A co tam słychać?

—Ano bieda. Coraz ciężej. Ostatnio znowu były łapanki na szmuglerów.

Dziwiłem się sam sobie, że mi ta rozmowa szła tak łatwo. Czuję się dość pewnie.

Nie mogłem zdjąć kurtki, bo pod nią, miałem pas z pieniędzmi. Długo też zastanawiałem się nad tym, czy wyciągnąć z kieszeni lewą

rękę, zupełnie czerwoną od krwi. Wreszcie wyciągnąłem ją. Kobieta zatroskała się, co to mi się stało. Odpowiedziałem, że się skaleczyłem, ale spostrzegłem równocześnie, że mi nikt nie wierzy, że każdy na pewno myśli, iż jestem po prostu ranny.

Mimo to rozmowa stawała się coraz serdeczniejsza. Przysiadłem się do młodych karciarzy i nauczyłem ich grać w „tysiąc”. Zaproponowano mi, żebym sobie umył i przewinął rękę. — Odmówiłem... Zaproponowano herbatę i chleb — zgodziłem się z radością. Na to przecież czekałem.

Po pewnym czasie dziecko zbudziło się wskutek jakiejś głośniejszej sprzeczki grających, gospodarz wyzyskał to zaraz i wypędził chłopców na podwórze.

—Niech się trochę przewietrzyą—powiedział.

Wiedziałem, że chodzi mu o to, by nam nie przeszkadzali w rozmowie. Natychmiast też po ich wyjściu siadł bliżej mnie i cicho zapytał:

—Czy mógłbym się panu do czego przydać?

Spojrzałem nań z wdzięcznością. Nić wzajemnej sympatii i zaufania była już nawiązana.

Poprosiłem go, by mi pozwolił przyprowadzić kolegę, który czeka w lesie, by dał i jemu coś do zjedzenia i picia, by nam wreszcie pozwolił trochę odpocząć i udzielił wskazówek co do drogi „powrotnej” do Warszawy. Zgodził się na wszystko. Nawet na to, byśmy się nieco przespali w stodole, jeśli jesteśmy zmęczeni i senni. W izbie lepiej nie, bo czasem przychodzi ktoś do niego, jak to zwykle w niedzielę, — „a lepiej, by zbyt wielu ludzi o panach nie wiedziało”.

Bardzo inteligentny i uczynny człowiek.

Buka stał zziębnięty w lesie. Wyglądał jak z krzyża zdjęty. Zachęcony opisem smacznej herbaty ze skórek jabłczanych, oraz perspektywą ciepła i odpoczynku, dał się przekonać i weszliśmy razem — ukradkiem — do otwartej już stodoly. Po chwili przyszedł gospodarz z gorącym mlekiem, chlebem i plackiem świątecznym. Omówiliśmy z nim wszystko dokładnie. Przyznaliśmy się do przekroczenia granicy i wystrzelania Niemców. Prosił nas o czuwanie nad okolicą, dopóki się nie ściemni, a potem o obudzenie nas, przeprowadzenie przez wieś i pokazanie bezpiecznej drogi w kierunku na Warszawę z ominięciem Łowicza.

Zgodził się, prosząc nas tylko, abyśmy nie chowali u niego niczego, co przy ewentualnej rewizji świadczyłoby mogło przeciw niemu.

Po królewskim podwieczorku odszedł od nas. Wdrapaliśmy się wysoko na siano, zrobiliśmy dziurę w strzesze, obiecując sobie obserwować na zmianę okolicę i... owinięci mym suknem, przytuleni do siebie i drżący na całym ciele, zapadliśmy w ciężką, męczącą drzemkę. Głosy chłopców, szczekanie psa, ryki krowy, szum lasu, zapach siana — wszystko to dochodziło do mojej świadomości jakby z tamtego świata... zacierało się, mieszało, zamazywało. „*Concerto grosso?*” — aha, feldfebel! nieprzyjemną miał mordę. Na aluminiowej blasze Halifax’a było zimno. Nad Danią rozbiłem sobie głowę — na czubku czaszki czuję żywe pulsowanie krwi. W palcu lewej ręki także — ale to było gdzie indziej. Gdzie? *Dorf Aleksandrow, Bezirk Plock... Deutsches Reich... Deutsches Reich?* Ależ nas urządził ten pilot, zrzucił do Rzeszy i na las... Marian się rozbił o drzewo... A facetka Peggy, podła flirciara, rozbiła auto... rozbiła... auto...

Nie wiem, jak długo spaliśmy. Wydawało mi się, że tylko chwilę. Zbudził nas głos gospodarza:

—Panowie, panowie — wstawajcie, już po szóstej.

Trudno mi pojąć rzeczywistość. Odpowiadam coś, nie wiem co. Zsuwam się wreszcie na klepisko, nogi mnie bołą, kości mnie bołą, mam silną gorączkę i dreszcze. Buka skarży się na to samo. Drżymy obaj z zimna i emocji.

Gorące mleko, to cudowna rzecz. Robi się nam różnie. Szybkie pytania, takie same odpowiedzi. Nikogo nie było, nikt się nie kręcił

po okolicy, nic się nadzwyczajnego nie zdarzyło. Wychodzimy ze stodoły, żegnam się przy drzwiach z gospodynią, wciskam jej w rękę parę banknotów, które miałem pod ręką i — wymarsz. Ciemno i zimno. Niezачęcająco wygląda ta noc. Prawie że ze złością, myślę o kolegach z grupy „*Shirt*” i „*Collar*”. Siedzą sobie teraz w ciepłym pokoju, słuchając „*Per Gynt'a*” z płyt, a za chwilę pójda spać do wygodnego łóżka. Po chwili reflektuję się. Czyż chciałbym się z nimi zamienić? Nie—za nic w świecie. Nikomu nie oddam naszej przygody. Wolę teraz brnąć po śniegu i marznąć — w Polsce.

W milczeniu przeszliśmy obok wsi, minęliśmy szosę i doszliśmy polami do drugiej wioski. Tu rozstaliśmy się z miłym, dzielnym przewodnikiem. Pokazał nam dalszy kierunek; mocny uścisk dłoni, podziękowanie i dalej idziemy sami.

Zza lasu wyszedł księżyc. Zrobiło się widno. Po kilku godzinach ciężkiego marszu „na kierunek” (kompas okazał się wyborym przyjacielem), odpoczeliliśmy chwilę przy jakiejś przydrożnej Męce Pańskiej.

Ściemniło się znowu. Nadeszły czarne chmury, zaczął padać śnieg. Trochę to niemile, ale ma swą dobrą stronę, bo ślady za pół godziny będą zasypane i już żadem pies nas nie wytropi. Ponadto jest trochę ciepłej.

Odczuwam silne znużenie. Tęsknota do łóżka wzmagą się we mnie z minuty na minutę. Uśmiecham się sam do siebie gorzko i zgrzyźliwie: łóżka mu się zachciewa, tu, w tym pustkowiu białym, z dala od wszelkiej ludzkiej pomocy.

Mijamy laski i pola, drogi i rowy, brózdy i pagórki. Jakie to szczęście, że wszystko zamarznęte, że ten uciążliwy marsz na przelaj nie musi być co chwila przerywany na jakiejś rzeczce, czy rowie pełnym wody.

Zaciąłem się; postanowiłem nie proponować pierwszego odpoczynku. Jak to? przecież jestem od Buki co najmniej o kilkanaście lat młodszy. Zaczyna budzić się we mnie wielkie uznanie i współczucie dla niego. Dzielny człowiek, silny i zacięty. Jak to dobrze, że go mam tutaj, że wiem, iż nie jestem sam, że słyszę za sobą sapanie jego zmęczonych płuc. Że mogę szeptem zamienić parę słów.

Dlaczego szepetem? Bo mnie o to prosił, bo — mimo, że naokoło nas śmiertelna cisza i pustka — Buka może mówić tylko szepetem i aż wzdryga się przy każdym głośniejszym słowie. Ciągłe wydaje mu się, że jesteśmy ścigani. Mijamy jakąś wieś. Psy ujadają. Nienawidzę psów w takich okolicznościach. Zdaje mi się, że cały świat zaraz zleci się do nas, taki hałas robią, taki wirszak i ujadanie. I co jeden skończy, to drugi zaczyna, psiakrew!

Zadymka wzmagą się, robi się coraz nieprzyjemniej. Zgrzałem się i staram się iść nieco wolniej, ale tak, aby Buka nie myślał, że ustaję.

Chwył mnie atak kaszlu. Zachłystuję się powietrzem, śniegiem, wiatrem — ale nie przestaję iść. Po dobrej chwili kaszel mija, ale od tego czasu chrząkam już i kaszlę co chwila i wiem, że to potrwa teraz przez kilka tygodni. Buka także jest chyba przeziębiony, ciągle pochrząkuje i spluwa.

Dochodzimy znowu do wsi, tym razem pod wiatr. Żadna bestia jeszcze nas nie zwietriżyła. Nie mam najmniejszej ochoty na omijanie wsi — szeroko ciągnie się w prawo i lewo — walę więc prosto w środek, zerkając tylko na kompas podczas krótkich przystanków. Obieram następny punkt przede mną i idę dalej. W pewnej chwili pytam Buke, która godzina.

—Trzecia. A co, warto by się tu gdzie przespać, prawda?

—O, ja wcale nie o tym myślałem, ale jeśli chcesz, to możemy. Tu, na skraju wsi — pod wiatr, — będzie nawet dobrze, bo nas nikt nie usłyszcy.

Czuję, nie patrząc w tył, że Buka się uśmiecha. Widzi przecie, że wyrażnie słabnę i ustaję, że przystanki — niby to dla zerknięcia na kompa^s

— są coraz częstsze. Ale i on ma dość. Druga nieprzespana noc i tyl drogi i tyle przejść.

Pierwsza z brzegu jest stodoła. Wrota zaparte, nie można się do niej dostać normalnie, próbujemy więc od pola. Pod dachem są duże otwory, ale nie mamy siły, by się do nich podciągnąć na rękach. Namacaliśmy wreszcie jakąś ruszającą się deskę, wygięliśmy ją i udało się nam wcisnąć do wnętrza.

Wszędzie słoma i siano — trzeba piąć się ku górze, uważając równocześnie na rękę, która boli i na to, by niczego nie zgubić z kieszeni. Wylazłem wreszcie na górę, zagrzebałem się w siano, przykryłem sukniem. Z początku drżałem z zimna, powstrzymując się od kaszlu. Buka, wiercąc się z boku na bok, pochrząkiwał z cicha. Po chwili szuranie ucichło. Było mi coraz cieplej i, coraz bardziej senny, słuchałem, jak jakieś szmery ciche chodziły jeszcze czasem dokoła, jakieś trzaski, wciąż rzadsze i cichsze. Dalekie szczekanie psa było moją kolysanką. Kończył się w tej chwili jeden z najbardziej pamiętnych dni w moim życiu — dzień groźny, mocny, niezapomniany.

d. c. n.

STANISŁAW ILEWICZ

ORANIENBURG — ALDERNEY — KORTENMARK

OD AUTORA

Gdy wezwano mnie do Ministerstwa W. R. i O.P., bym udzielił pewnych informacji co do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu, jeden z Panów, którego nazwiska nie wymieniam, bo nie mam upoważnienia, z którym najczęściej rozmawiałem, namawiał mnie, bym spisał coś w rodzaju pamiętnika.

Tłumaczył, że czas biegnie, zacierają ślady po ludziach, którzy ginęli w obozach, a znowu ludzie, którym udało się wyjść, szybko zapominają.

A przecież, jeśli na cmentarnych tabliczkach pisze się poszczególnym zmarłym parę słów, to chyba i tym tysiącom należy się taka ogólna tablica, wyjaśniająca: dlaczego, kiedy, gdzie i jak? Więc piszę.

Przygotowania literackiego nie posiadam, mam natomiast przygotowanie praktyczne: 50 miesięcy byłem w obozie koncentracyjnym. Nie jako robotnik zabrany do przymusowej pracy, a więc bądź co bądź człowiek, tylko zwyczajnie jak więzień polityczny, zamknięty w „Schutzhaftlager” przez 28 miesięcy w Oranienburgu, 4 miesiące w Düsseldorfie, 16 miesięcy na wyspie Alderney i 2 ostatnie miesiące w Kortemark, chwilowym przy-stanku w drodze do Buchenwald.

Jeśli tu i ówdzie nie dociągnę, jeśli zawiedzie mnie pamięć — to będzie wytłumaczone i zrozumiane. Jedno jest pewne: — nie koloryzuję nie przesadzam, oddaję tak, jak było. Podaję fakty. Kiedyś, gdy będzie stosowniejszy czas, da się to rozwinąć, stonować, opowiedzieć tkliwie i z ludzką czułością — o tym, co było kiedyś młode, zwycięskie, ufne, a co zmieniono w strzępy mięsa i spalono na popiół. Ale to kiedyś, później. Dzisiaj trzeba szybko zanotować te i owe szczegóły, te i owe nazwiska, miejscowości, daty. Jak w notatniku.

To właśnie czynię.

* * *

Jest już po wojnie. Z rozmaitych stron Polski, przeważnie jednak ze wschodu — wracają żołnierze, którym nie udało się przejść granicy a dało się uniknąć niewoli, wracają cywile, którzy w myśl wezwania radiowego pułk. Umiaostowskiego cofali się za wojskiem i policją; wracają ci wszyscy, którzy uciekali przed Niemcami.

Uciekali, wracali — teraz handlują. Wszyscy kupują, sprzedają, najczęściej jednak wymieniają. Wróciliśmy do okresu handlu wymiennego: cukier za sól, tytoń za mąkę, naftę — powstają sklepy, sklepiki. Osady, miasteczka i miasta zamieniają się w jeden wielki wspólny Kercelak. Wieś zamknęła się w sobie jak ślimak w skorupie. Tworzy się wyraźny front przeciwko inteligencji, oni bowiem rozpoczęli wojnę, oni wojnę przegrali. Wieś przeżywa swój złoty okres: sprzedaje, kupuje, nie płaci podatków, nie robi szarwarków, nie posyła dzieci do szkoły. To jednak szybko mija. W ślad za wojskiem niemieckim, z którym ludność handlowała, wymieniając masło, mleko, ser, jajka za naftę, benzynę — przysłała administracja. Przyszło Gestapo, policja, przysyły podatki, szarwarki, kontyngent. Rozpoczęła się nauka szkolna. Usuwa się historię, geografę, zabrania używać podręczników do nauki polskiego.

W listopadzie 1939 r. zamordowano rodzinę kolonisty niemieckiego. Mord miał charakter polityczny — twierdziły władze niemieckie. — Ściągnięto Selbstschutz, oddziały SS, policję. Z okolicznych wsi gminy Wojcieszków zebrano około 300 osób od lat 14-tu. Spędzono wszystkich w jedno miejsce. Żona kierownika szkoły, Kalinowskiego Józefa zwróciła się do kierującego akcją kapitana, prosząc by męża ratował. Kapitan wyciąga Kalinowskiego, pytając czy jest Volksdeutschem. — Jestem Polak — weg! — krzyczy kapitan i Kalinowski wraca do gromady.

Rozpoczęło się strzelanie. Drgające jeszcze ciała rzucano do dołu

i sypano ziemię. Karabin maszynowy siekł, cztery wsie płonęły, podpalone przez Niemców.

W kilka dni po tej rzezi, pojmano właściwych sprawców mordu, który miał charakter rabunkowy. Pytany w tej sprawie landrat łukowski — wyraził żal...

W przeddzień wigilii Bożego Narodzenia zajeżdża do Stanina pełen SS-manów autobus. Jest godzina 9 rano. Wychodzę z pokoju sypialnego do stołowego, w którym byli żona, syn, siostrzenica i szwagier. Szybki tupot butów i do pokoju wpada gromada żołnierzy. Sadzają mnie na kanapie, reszta domowników zastyga w bezruchu i rozpoczyna się gruntowna rewizja. Brutalna, chamska. We wszystkich drzwiach stoją posterunki. Dają mi łopatę i z młodym eleganckim oberscharführerem wychodzimy do piwnicy. Każe mi kopać. Po kilkunastu minutach próbuję tłumaczyć, że to nie ma sensu — Loss! — kopię dalej. Wreszcie i on ma dosyć. Penetruje jeszcze w ogródku, podchodzimy do drwarki, na progu której zakopany był karabin (o owym nie wiedziałem) i wracamy do mieszkania. Dostają 10 minut na zebranie się. Wychodzimy. Idą przede mną i za mną. Cały Stanin na drodze. Wszyscy podnieceni, przerażeni. Jestem pierwszy w samochodzie. Po mnie przychodzi sekretarz Urzędu Gminnego, kierownik poczty, porucznik R. i wójt. Ruszamy. Po przyjeździe do Łukowa, prowadzą nas do Gestapo. Stawiają pytania, co do istnienia tajnej organizacji wojskowej w Staninie, strzelania do samolotu niemieckiego i t.p. Mamy wyjątkowe szczęście. Badający okazują dużo, jak na nich dobrej woli i rozsądku. Nie biją, nie krzyczą. Pokazują mi anonim, który wymienia mnie na pierwszym miejscu, jako naczelnika tajnej organizacji (nie byłem nim ani nie należałem do żadnej organizacji) i tego, który strzelał do samolotu niemieckiego. Uwierzyli nam nie anonimowi. Mogło być inaczej... Zapowiedzieli, że uważają nas za zakładników.

Od tej chwili zacząłem myśleć o przedostaniu się do Lwowa, gdzie miałem rodzinę. Ale skończyło się na myśleniu, a tymczasem przyszedł rok 1940, który zmienił kompletnie moje plany.

OD MICHAŁA DO MARTY

Adwokat Sikorski z Lublina przyjechał do Łukowa. Zainstalował się w pobliskim dworze Anielinie i zaczął szukać ludzi do roboty. Szwendał się po okolicznych dworach, zawierał znajomości, badał grunt, rozpędzał się. Nie przypuszczałem ani przez moment, że zwróci się do mnie, gdyż chyba orientował się w sytuacji. Byłem przecież zakładnikiem... Tłumaczyłem żonie, że to są bzdury, że wszystko skończy się masowym aresztowaniem, że moment nieodpowiedni, że, że i jeszcze raz że... Moja żona słuchała. Widziałem na jej twarzy grymas niesmaku. W pewnej chwili podniosła głowę i powiedziała spokojnie: — gdybym była mężczyzną, to jednak coś robiłabym dla tej Polski — i patrzyła daleko przed siebie.

Na drugi dzień miałem rozmowę z Sikorskim, który złożył mi wizytę. Prosił o współpracę, on tu przecież nikogo prawie nie zna. Oczywiście, Polska, nakaz chwili itd. itd. Wyjaśniłem sytuację, powołałem się na moje niedawne aresztowanie. Dawałem mu adresy moich kolegów, znajomych, którzy na pewno pójdą na robotę. Widziałem, że jest wyraźnie zakłopotany. Odpowiedział po chwili, że rozmawiał z niektórymi, których adresy mu podawałem — ci odsyłali go do mnie.

Sikorski ma już zaczątek „Sztabu”. Jest Komendant całości, jest szef wydziału gospodarczego, potrzeba jeszcze utworzyć wywiad, wyszukać komendanta wojskowego i szefa organizacyjnego. Cóż miałem zrobić? On i ci dwaj nie mieli ludzi, nie mieli kontaktu, nie orientowali się, a ja?... ja byłem przecież mężczyzną!... — Gdybym była mężczyzną, to... mówiła moja Henusia...

Zjawiłem się w Anielinie. Stary, trochę już opuszczony dwór, pełen zakamarków, skrytek, mający duży

ładny hall, rozmaite górkę — słowem mieszanina: modny boston angielski, tango i stary, na falach Dunaju walc.

Poznałem się z komendantem przyszłej organizacji w powiecie, Wiktorem, b. wicestarostą lubelskim, sympatycznym blondynem, który rzucił Lublin, zostawił młodą żonę w ciąży i poszedł w świat... i zięciem właściciela dworu, Klemensem D., równie bardzo miłym człowiekiem, który miał wziąć na siebie sprawy finansowe. Zapoczątkowaliśmy pierwsze bodaj rzetelne zjednoczenie, mam podstawy do sądenia, że szczerze, — ludzi różnych przekonań politycznych.

Objąłem sprawy organizacyjne. Moim zadaniem było dostarczyć ludzi. Musiałem się rozkonspirować. Przyznam się, że z bólem serca wciągałem ludzi do roboty, gdyż byłem przekonany, że jeszcze jest dużo czasu do właściwej akcji. Długość zaś czasu przyczyni się do wsypy. Po upływie paru miesięcy, mieliśmy ludzi już nie w dziesiątkach, a setkach, musiałem wciągnąć żonę, siostrę, nawet syna, który mi pomagał w zakopywaniu broni. Zbieraliśmy broń, mieliśmy r.k.m. c.k.m., małe działka, stację nadawczą. Zbieraliśmy i przekazywaliśmy, gdzie należało wiadomości o oddziałach niemieckich. W Łukowie nasz sztab zbierał się u Janka M. — odprawy w Lublinie odbywały się w różnych punktach. Bywałem dość często w Anielinie w sprawach organizacyjnych. Oficjalnie nikt niby nie wiedział, co się robi, ale teściowa Klemensa i jej córka, energiczna brunetka były kurierkami. Pani Klemensowa nie brała — zdaje mi się udziału. Miała 19-20 lat, bardzo spokojna i bardzo przystojna blondynka, o pięknych, jakby zdziwionych, niebieskich oczach. Uśmiechała się ślicznie i była jakoś dziwnie delikatna, nieśmiała. Życie nasze było nieco nerwowe i kiedy siedziałem na werandzie, czekając na Klemensa D. — pani bawiła mnie, haftując coś i rzucając od czasu do czasu parę zdań. Ale mało. Ten jej spokój udzielał się i mnie. Było dobrze. Hasło, którym porozumiewaliśmy

się w tym czasie było: „Od Michała do Marty”...

TYLKO SIĘ NIE PRYZNAWAJ

Był ostatni dzień czerwca 1940 roku.

Pociąg pędził na złamanie karku. Nie zatrzymywał się na stacjach, przejeżdżał, nie hamując biegu, głucho stukwały koła wagonów o szyny. Pociąg był długi. W oknach, na korytarzach sterczały bagnety, groźnie odcinały się hełmy i mimo cudnego słonecznego dnia, ponurość buchała z wagonów. Szeroko otwartymi oczami patrzyli na stacjach ludzie na przelatujący pociąg. Gdzieś koło Łowicza tłumy ludzi wracały z kościoła. Była niedziela. Gromada rozsypała się wzdłuż toru kolejowego. Gorsety, chustki, spódnice grały gamą przeróżnych kolorów. Pociąg biegł wzdłuż tej żywej alei, roztrącając jakby, tratując ten szpaler kwiatów. Towarzysz mój, siedzący naprzeciwko przy oknie jest chmurny, posepny. W pewnej chwili widzę, jak twarz mu śmiesznie kurczy się, drga. Z oczu płyną łzy. Niezdarnie zgarnia je ręką. Nie widzę tego, obserwuję krajobraz. W powietrzu cisza. Błyskawicą zjawiają się i znikają obrazy pól, dróg, lasów. Błyskawicą przebiegają wizje ostatnich dni. O, właśnie... Żona moja przejeżdża rowerem przed nasz dom, a widząc, że jestem w asyście policji i SS-manów, mówi — nie patrz na mnie — jakimś jęklwym, nieswoim głosem: Ges-ta-po! ... A ci się śmieją. Ogromnie mi jej żał w tej chwili.

Wchodzimy do mieszkania. Biorę swoją małą walizeczkę, w której mam przygotowaną bieliznę i kilkaset papierosów. Słyszę szept zduszony łzami: — tylko się nie przyznawaj!... tylko się nie przyznawaj!... Patrzę na nią, jest zupełnie rozbita. Gładzę delikatnie jej włosy i uśmiecham się jakoś krzywo. Uśmiechem tym mówię — jeśli wiedzą, cóż znaczyć będzie małeńka, twoje żalodne, dziecięce — tylko się nie przyznawaj!... Jeśli wiedzą...

Zegnam się — obejmuję ją, uderzam z lekką ręką po plecach i mówię już teraz uśmiechnięty prawdziwie — nie bój się, wszystko będzie w porządku... nic się nie martw!... Szybko wychodzę, włączę na wysoki samochód, który rusza. Odwracam głowę. Stoi w drzwiach domu, oparta obu rękami o słupy ganku. Tak ją zostawiam. Jest piątek 21 czerwca 1940 roku. Dzień gorący, duszny. W drodze mijam mnie inspektor szkolny, który pewnie jedzie na wizytację. Pozdrawiamy się. W Łukowie jest już 10 osób, w tym 3 kobiety, jedną tylko znam. Po krótkich formalnościach jedziemy do Radzyna, gdzie obecnie urzęduje Gestapo. W Radzynie siedzieliśmy 3 dni. Opowiadam setki kawałów, towarzysze ryczą ze śmiechu. Dzisiaj wiem: pokrywałem swój niepokój, ba więcej — strach. Bałem się, bałem się, że gdy zaczną bić, gdy stanę się szmatą, strzępem mięsa... wtedy... wtedy... dziesiątki a za nimi już setki ludzi pójdzie za mną. Jeśli połamią mi ręce, nogi, odbiją płuca, wnetrzości, czy za cenę szybkiej śmierci nie wydam?...

Pociąg pędzi. Dojeżdżamy do Poznania. Jestem głodny, ale nie mogę przełknąć kawałka chleba więziennego, który mi pozostał z Lublina. Lublin!... Poruszam lewą ręką, gdyż zjawia się przypomnienie, że tą ręką byłem skuty wspólnie z D... Siedziałem w baszcie. Każdej nocy słyszałem głuchę dalekie uderzenia, jęki, rozpaczliwe wołania. I to czekanie! Wciąż chodzę w kółko i wciąż myślę o tym biciu, o tym, żeby nic nie powiedzieć. I wreszcie wyjazd z Lublina. Idziemy wczesnym rankiem na stację. Wrzaskliwie bijemy obcasami o kamienną jezdnię. Co 2-3 metry z obu stron naszej kolumny idą „trupie czaszki”. Ponuro patrzą na nas. W oknach kamienic ukazują się w bieliznie mieszkańcy. Tu i ówdzie z gwałtownym trzaskiem otwiera się okno. Idziemy ulicą 1 Maja. Ileż razy przemierzałem ową ulicę!...

Wysoko na balkonie domu oznaczonego Nr. 28 stoi grupka ludzi. Zdaje mi się, że w słabym zary-

sie budzącego się dnia widzę Marysię Stettenerównę... W tym domu mieszka Marysia, jest Heniek, Jurek!... Czy oni przeczuwają, że ja tu idę, że teraz patrzę do góry, że chcę ich dojrzeć, zetknąć się oczami, jak uściskiem rąk?... SS-mani poczynają strzelać do okien. Wszystko niknie, okna się zatrząskują.

Już jest Zbąszyń, zapada wieczór, przychodzi głucha noc. Pociąg pędzi, koła wagonów jakoś miękko, cicho stukają. Nie śpię. Wstuchuję się w rytm biegnącego wagonu i słyszę wyraźnie — tyl-ko-się-nie-przy-zna-waj, tyl-ko się - nie -przy - zna - waj...

TU SĄ TYLKO ŻYWI I UMARLI

Mała stacyjka Sachsenhausen. W promieniu paru kilometrów rozrzucone małe, piętrowe domki, wszystkie na jedną modłę. Naprzeciw naszego wagonu las sosnowy. Wysiadamy, popychani kolbami, butami, ustawiamy się piątkami i długa kolumna, mająca tych piątek 130 rusza. Cała droga, przez którą idziemy, obstawiona SS-manami. Patrzą na nas z ponurą ciekawością. Nagle rzucają się na nas, biją pięściami po twarzy, kijami, kolbami. Wyjaśnia się — należy kapelusze zdjąć i maszerować z odkrytą głową. Coraz więcej tych SS-manów, coraz więcej. Skąd ich się tyle bierze?...

Dochodzimy do obozu. Przechodzimy jedną bramę. Na wprost nas duży biały gmach. W górze dostrzegam napis „Schutzhaftlager”. Jest druga brama, olbrzymia, żelazna. Podchodzimy bliżej. Nisko na bramie kuty z żelaza napis: „Arbeit Macht Freu”. Przechodzimy ową bramę, bici, kopani — jakiś ksiądz upadł pod ciosem kolby i teraz leży, tarasując przejście. Cucą go butami, biją walizką po głowie, wreszcie przeciągają przez bramę. Ustawiamy się w pozycji „Achtung”. Kolejno podchodzimy do stołu, gdzie oddajemy pieniądze, zegarki, obrączki i t.p. Do przygotowanych koszyków wysypujemy zawartość walizek, teczek: żywność, papierosy, tytoń. Nie zostawiamy

dla siebie ani okruszyny chleba, tytoniu. Z kolei oddajemy ubrania. Zostajemy nadzy, trzymając buty w rękę. Idziemy się strzyż, golić i kąpać. Dostajemy obózwą odzież: spodnie i bluzy w niebiesko-białe pasy i koszule. Więcej nic. Spoglądamy na siebie z obrzydzeniem. Golone łby i to ubranie. Już nie ma lekarzy, adwokatów, księży, nauczycieli. Są tylko więźniowie. Urzędowy termin: „Schutzhäftling”.

Jest w Obozie miejsce odosobnienia t.zw. „kwarantanna”. Jest to kompleks baraków specjalnie jeszcze odrutowanych, jest pewna linia, której przejść nie można. Wszyscy nowi, przybywający do obozu muszą odbyć 5-6 tygodniową kwarantannę. Jest to zaprawa do obozu. Dostaję się na blok 37, którego starszym t.zw. „Blockälteste” jest „Willy”, suchotnik, komunista.

Na drugi dzień przyszywany numery i trójkąty. Wszyscy dostajemy trójkąty czerwone jako polityczni. Dowiadujemy się, że oprócz nas są jeszcze na kwarantannie księża w liczbie 280 i żydzi 400-500. Są wśród nas lżej i ciężiej chorzy, którzy naiwnie próbują się „zapisać do lekarza”. Otrzymują od blokowego suchą i krótką odpowiedź: „tu nie ma chorych, tu są tylko żywi i umarli”. Stwierdza to jeszcze dobitniej następny ranek. Zaczyna się od starosty puławskiego Wielanowskiego. Jest to starszy, siwy pan. Jest dosyć korpulentny.

— Byłeś starostą?...pyta nasz blokowy Willy.

— Byłem — i w tej chwili, wysoki, stojący obok niego zastępca blokowego, który ma trójkąt czarny t.zn. jest „asocial politisch” wymierza starościę potężny cios od dołu w brzuch. — Chwieje się, a otrzymawszy krótkie, jakby od niechcenia uderzenie w żołądek — pada. Willy metodycznie raz po razie kopie go butem w głowę, twarz, piersi. Stawiają go siłą w pozycji pionowej. I wtedy z obu stron, by nie upadł, biją go obaj po twarzy. Wielanowski znowu pada i znowu go podnoszą. Ten

stary ma jednak siłę!... Potem bawią się w „dupaka” — tak to nazywają. Biją go deską. Nie, on już nie może... Cały blok 290 ludzi robi teraz przysiad i skacze — zmiana. Wszyscy kładą się na ziemię i tarzają się kilkadziesiąt metrów w lewo i z powrotem. Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz... Ani na chwilę nie możemy ustać. Blokowi i zastępca biegają i korygują ruchy. — Immer rollen, loss! loss!

Nauczyciel Ziomek, chory na dwunastnicę — pada na ziemię i nie roluje. Już nie może. — On jest chory — woła ktoś leżący do blokowego. Ten w odpowiedzi ujmując potężną lagę i każe toczyć się po bezwładnym Ziomku. Próbujących ominąć, przyprowadza tą lagą do porządku. 290 ludzi przewala się po chorem. Jeszcze raz, jeszcze raz... Mieszają w nim wszystkie wewnętrzności. Już nie jęczy, stracił przytomność.

Nie idziemy do bloku. Zbliża się noc, stoimy na „still gestanden”. Mijają godziny, jest coraz zimniej, Ziomek poczyna jęczeć. Ktoś liściowy ściąga przez okno koc i przykrywa nim chorego. Blokowi po raz już czwarty dzisiaj zabawia się z Wielanowskim. Nic mu nie możemy pomóc. Blokowi skończywszy z Wielanowskim obchodzi wszystkich, obserwuje, sprawdza. Natrafia na leżącego Ziomka, który jest przykryty kocem. Ogarnia go szalona pasja, Zdziera ten koc i bije leżącego lagą, butem, pięścią, staje na nim, dusi go, rozdziera uszy, twarz. Willy jest już parę lat w lagrze — Willy był kiedyś komunistą, dziś jest wykończony gruźlik, sadysta — dziś Willy sam innych kończy... Odchodzi od Ziomka, ale koc zostawia. Rano w tym kocu dostawiają trupa Ziomka do apelu. Liczba musi być. Rano siedzimy w przysiadzie. Jesteśmy bardzo zmęczeni. Blokowi wyprowadzają księży i rozkazują im biec po nas. My leżymy gęsto jeden obok drugiego, a oni biegają, biegają — 280 ludzi!...

Ponad 30 ludzi melduje się jako chorzy. Ale chorych na kwarantannie nie ma. Są tylko żywi i tacy jak Ziomek...

Punktualnie o godzinie 5 po budka. Biegiem do umywalni. Parę minut przed szóstą śniadanie t.zn. kawa czarna, gorzka, ersatz. Przed śniadaniem musi być idealny porządek na sali sypialnej. O 6,30 ustawiamy się przed blokiem piątkami. Równanie, krycie, czapki zdjąć — jeszcze równanie, krycie i czekamy. Na plac apelowy kwarantanna nie wychodzi — raport odbiera jeden z SS-manów i odnosi ten raport na właściwy plac apelowy. Trwa to dobre pół godziny. Cały ten czas stoimy na baczność, z odkrytymi głowami.

Po apelu robienie porządków: blok, umywalnie, dziedziniec, ustęp. Niezatrudnieni stoją w zwartej kolumnie, nie wolno się poruszać, wychodzić, zabronione jest mówienie. Trwa to od 6,30 do 10,30. W międzyczasie uczymy się liczyć po niemiecku, śpiewać, meldować. Bardzo często śpiewamy w przysiadzie. Mamy jeszcze 1 1/2 godziny na sport. Brzmi to niewinnie. Kilkanaście minut padnij — powstań, po tym skoki w przysiadzie, taniec, tarzanie się, przysiad dłuższy i od początku. Blokowi, zastępca, często Blokführer czuwają, by wszystko odbywało się według przepisów. To czuwanie jest dla nas groźne, zawsze bowiem kończy się wybiciem zębów, rozbięciem głowy czy złamaniem ręki lub nogi. Podczas takiego sportu zabito nauczyciela Ziomka. W czasie, gdy staliśmy od 6,30 do 10,30 blokowi osobiście sprawdzał stan czystości noży, łyżek, menażek. Najmniejsze uchybienie karane było surowo.

Syn pułkownika, b. komendanta K.Ū. w Białej Podlaskiej był chory na pęcherz — musiał często wychodzić. Nasz blokowi postanowił go wyleczyć. Postawił krzesło na środek bloku, młody G. wlaź na to krzesło i zrobił przysiad. Ręce wyciągnął przed siebie i trzymał drugie krzesło, na którym przewieszono ręcznik. Po paru minutach chłopakowi poczęły ręce drgać, sinił z wysiłku, ale obok stał Willy i bił go laską. Po dalszych minutach,

gdy tracił siły, a Willy bił go coraz mocniej, począł płakać jak dziecko. W lagrze wszystko można robić, ale płacz doprowadza tych, którzy kają do szaleństwa. Blokowy wściekł się. On, który miał ręce pokaleczone, jedną złamaną od pobicia a musiał wozić piasek taczkami, bo mu ręce do nich przywiązano, nie mógł zrozumieć, że ten chłopak płacze. Bił go z furją. G. spadał z krzesła, bity był tym krzesłem, podnoszony na nogi i znowu zaczął ten nieszczęsny przysiad.

Ojciec, który stał razem z nami i musiał patrzeć, dreptał w miejscu, szeptał coś do siebie, dygotał cały. Było mu ciężko. Ratował syna jak mógł, oddawał zawsze trochę swej zupy, kawałek chleba, bo chłopak młody, potrzebował więcej zjeść, a on stary...

Co jakiś czas, zrywał się, chciał biec do syna, ale towarzysze wstrzymywali go dosyć grubiańsko, bo obawiali się o siebie, obawiali się, że blokowy wszystkim to urządzi. Więc stał, dygotał, chociaż było ciepło i wyglądał śmiesznie, biednie. Z tym swoim szepczeniem, z tym starczym, bezradnym grymasem twarzy...

Obaj z synem nie przyżyli kwarantanny, nie zobaczyli dużego lagru.

O godzinie 12 znowu apel i znowu pół godziny nieruchomo w zastygłej postawie stoimy. Słońce praży. Od ukończenia apelu do godziny 13,30 obiad, składający się z niecałego litra zupy z brukwi. Resztę czasu po zjedzeniu obiadu trzeba było poświęcić na czyszczenie mezażek, łyżek. Po południu znowu te same zajęcia fizyczne i umysłowe. Do roboty dużo zgłaszało się amatorów, ale brano tylko 10-15, ponad 250 musiało stać. Od czasu do czasu w ciągu dnia wpadał któryś z SS-manów i wygłaszał krótkie przemówienie na temat dyscypliny obozowej. Jeden z naszych tłumaczył na polski. Przez pewien czas funkcję tę pełnił adwokat z Gdyni, Marian Zawodny. Blokowy dowiedział się, że był on oficerem w Wojsku Polskim i naraz

począł twierdzić, że tłumacz głupieje. Rozpoczął go leczyć. Po prostu przysiad — w rączkach jakiś ciężarek, głowa do góry. Marian robił ten przysiad precyzyjnie i długo mógł wytrzymać. A blokowy, miał w rękę grubą linię, taką biurową i ostrym kantem ciął go po karku, po szyi. Marianowi wyskakiwały grube krechy na szyi, upadał na ziemię, bardzo szybko podnosił się, znowu upadał i trwało to tak nie godziny a...tygodnie. Na szczęście dla niego kwarantanna się skończyła i głupota jego wraz ze zmianą blokowego ustąpiła.

— Wiesz — mówił do mnie — chciałem się na kwarantannie powiesić.

— Dlaczego?... — zdziwiłem się, gdyż wiedziałem, że Marian to twardy człowiek. — No, co chcesz — po prostu zrobiłem obrachunek. Mają mnie zabić butami, wolę lżej skończyć.

O godzinie 7 po raz trzeci już odbywaliśmy apel i kolacja. Był to najbardziej atrakcyjny wycinek dnia. Dostawaliśmy chleb, ciężki, zawierający wszystko, prócz mąki. Chleb był na 4-ech a prócz tego odcinało się jeszcze grubą kromkę, więc prawie na 5-ciu, 25 gr. margaryny i tyleż kiełbasy i kawa. Był gwar, rozmowy, wspomnienia.

Kazio Abt, nauczyciel gimnazjum w Krzemieńcu opowiadał mi po raz nie wiem już który, jak wyszedł do szewca, by odnieść żony pantofle do naprawy i tak go wzięli. Zamiast do szewca odnieść te pantofle, przywiózł je do Oranienburga. Sekretarz Urzędu Gminnego w powiecie łukowskim, przychodził zawsze do mnie, by się „narodzić”. Przychodził, bo go bujałem, że niedługo zwolnią go, on lubił słuchać, twierdził, że wzięli go przez omyłkę. Był to zdrowy 30-letni mężczyzna, nie wytrzymał jednak nawet 5 miesięcy. Potrzebował dużo zjeść, bo ciężko pracował i ciężko był bity. Zawsze czekał na listy i pieniądze z domu. Obiecował, że kupi bochenek chleba i jak mówił — od zamachu zje cały. Pie-

niądze przysły i list przyszedł, ale jego już nie było...

O godzinie 9 musieliśmy już spać. Codziennie gdy pokładliśmy się na naszych pryczach, adwokat Goldman zaczynał elegijnie: — koledzy, dzisiaj rano zmarł nasz kolega Suchodolski, czy Wlekliński, Rudnicki, Pogonowski, Jacobi, — słowem ktoś zmarł — dla uczczenia jego pamięci — zachowajmy 5 minutową ciszę. I była cisza, każdy wtedy okrywał się porządnie kocem i przygotowywał do dyskusji. Denerwowało nas tylko, dlaczego akurat ta cisza ma być aż 5 minut. Czy nie wystarczy jedna, no dwie minuty... Na pewno nikomu z tych zmarłych nie zależy na pełnych 5 minutach. Ale nikt nie chciał kwestionować, bo zaraz padały wielkie słowa, powaga śmierci i t.p. A tymczasem ludzie po prostu mówiąc, umierali w ustępie. W ustępie — wyglądałoby, że z przedjedzenia a naprawdę to często z głodu.

Jeszcze wcześniej, to owo uczczenie zmarłych 5 minutową ciszą, poprzedzone było krótkim życiorysem tego. Ale potem samo przez się upadło. Jeśli piszę codziennie, to dlatego, że codziennie ktoś umierał. Nie z obozu, bo z obozu transportu lubelskiego.

Jak powiedziałem ów obyczaj uczczenia nieboszczyka wprowadził adwokat Goldman, siostrzeniec Feliksa Perla.

Goldman posiadał staranne wykształcenie, świetnie znał literaturę, umiał niezliczoną ilość wierszy, sonetów, wrywków celniejszych pisarzy na pamięć, miał tylko jedną wadę — za dużo mówił o jedzeniu. O zryncu po wiedeńsku, o gorącej polędwicy i t.p. Godzinami na te tematy monologował. Ale takich było więcej. Hrabia Potocki n.p. miał przepis na bigos, gdzie to — daje się na spód warstwę słoniny, potem kwaśną kapustę, potem mięso drobiu i znowu kapustę i znowu i t.p. Albo ryba — robi się tak...i szło godzinami!...

Jest noc...słychać ciężkie od-

dechy. Ktoś jęczy przez sen, ktoś się modli, płacze... Kazio mi wszeptuje do ucha, że gdy go brali, to córka miała 1 1/2 czy 2 — już dzisiaj nie pamiętam — miesiące. Nie chcę słuchać, co mnie to obchodzi; ja mam syna, który ma już 14 lat, a jakieś tam 2 miesiące, co to jest i dlaczego się martwi — zapytuję go, umrze, to umrze, żonie będzie lżej...zresztą daj mi spokój.

Jest noc — nie śpię — liczę ile to dni upłynęło od mego aresztowania, ile to jeszcze dni upłynie takich, — jak ten jeden dzień kwarantanny...

OBERSCHAARFUEHRER SZUBERT

Śpiewu w języku niemieckim uczył nas ksiądz Szkłońc. Był to młody, 26 letni człowiek, bardzo miły, uprzejmy. Blokowy Willy, który zasadniczo, jako komunista książy nie lubił, Szkłońca jakoś znosił. Po pierwsze potrzebował go, bo sam śpiewu uczyć nie umiał i nie chciał, po drugie dosyć lubił naszego księdza, bo był młody, uśmiechnięty i cichy. Nie mógł być zresztą innym. Willy wypożyczał go z bloku książy, by nas uczył. Pierwszą naszą piosenką była:

„Kehr ich in die Heimat
wieder, Früh am Morgen,
wenn die Sonne aufgeht”...

Ksiądz Szkłońc lubiał właśnie ową piosenkę, bo nie zawierała jego zdaniem — sprośności. Nam było wszystko jedno. Ksiądz Szkłońc przychodził z rana, witając się z nami; czapkę chował do rozporka spodni, bo posiadanie kieszeni było wzbronione; tam też chował coś, co przypominało chusteczkę do nosa, tam chował chleb, jeśli ktoś z nas dał mu.

Był stale głodny. Największą jego uciechą poza tym, żeśmy dobrze śpiewali — była nagroda w postaci kawałka chleba, który dostawał od blokowego. Na owe lekcje przychodzi do nas oberschaarführer Szubert, którego panicznie lękał się nasz nauczyciel. Szubert, młody, elegancki, przystojny, był postrachem kwarantanny. Starannie ubrany,

o oczach niebieskich, z których przebiła okrucieństwo—były jakieś blade, przymglone — przysłuchiwał się naszym lekcjom i kazał sobie śpiewać. Powiedział, że lubi śpiew. To jego „lubienie” przejawiało się w formie trochę odmiennej, niżeli u innych ludzi, formie, która specjalnie dla nas—nie wiem czy to nie za słabe określenie — była niewygodna co najmniej. Śpiewaliśmy w przysiadzie, nogi mdlały i nie dziwię się, że śpiew nasz niezawsze wypadł tak, jak on sobie życzył. Więc musieliśmy powtarzać niezliczoną ilość razy. On palił papierosa, okna kazał pozamykać, a my dawaj!... Na ogół jednak był zadowolony, — na nasze szczęście. On znowu lubił: „Wilkommen frohe Sänger”.

Pozycja nasza niezupełnie pasowała do treści pieśni i jej nastroju.

„Und kommt dann aufs Neue
dieser Tag zu uns heran,
Dann singen wir, wie heute, liebe
Brüder Mann für Mann”.

Szubert był „sznytowy”. Był mistrzem w masowym odbieraniu raportu. Odbierał od razu od 3 bloków, więc mniej więcej 700-800 ludzi. Jedni odliczali z lewego skrzydła, drudzy z prawego, on stał w środku. Jeżeli ktoś się pomylił przy odliczeniu, to powtarzali jeszcze raz, ale wtedy: jeden bok w przysiadzie, drugi i trzeci na padnij; nikt tak nie umiał stuknąć obcasami, tak się obrócić w tył z równoczesnym stuknięciem obcasów, jak on to czynił przed raport-führerem Campe.

Szubert miał w opiece nasz blok. Odwiedzał go codziennie i codziennie miał w zapasie nowe sztuki.

Siedzieliśmy przy kolacji. Na stole chleb, margaryna, kawa, kubki, menażki, łyżki. Wchodzi Szubert „Achtung” i wszystko zastyga. On patrzy chwilę i z nagłą: — padnij! W momencie wszystko leży na ziemi, 20 ludzi siedzących przy każdym stole nie może się przecież pomieścić. Straszliwy rumor, ze stołu wszystko spada, gorąca kawa z dzbanka leje się na leżących,

parzy. I jeszcze kilka razy padnij, powstań, z bloku robi się pobojowisko. I znowu komenda: — na szafki. Szafek jest kilka, są małe, ludzi ponad 2 setki. Drapią się na te szafki, ściągają jeden drugiego, ściągają na ziemię szafki; Szubert rzuca w tłum stołkami, dzbankiem, wreszcie strzela — w górę — ale były wypadki, że trafiał ludzi. Z kolacji nie ma śladu. Wszystko zduszone, stratowane ciałami, wymieszane. Musimy śpiewać, — Esterwegen! — krzyczy Szubert. Esterwegen — to pieśń więźniów — „häftlingów”, która ma swą nazwę od obozu Esterwegen, gdzieś zdaje się na granicy holendersko-niemieckiej. — Więc zaczynamy:

„In Esterwegen war ich zwar,
So manchen Monat, Tag und
Jahr
Und fragt Ihr mich, wo
steht mein Sinn,
So sage ich zur Heimat hin”.

I kończyliśmy z ogromną ekspresją:

„Doch auch für uns kommt
mal die Zeit
Wo aus der Schutzhaft wir
befreit
Dann werden froh wir
heimwärts ziehn
Ganz gleich, ob's schneit, ob
Rosen blühn”...

Szubert upajał się swą władzą. On właśnie znęcał się nad generałem Roją Bolesławem, który umarł na kwarantannie w Oranienburgu, on był postrachem wszystkich bloków i jemu oddawano te bloki w opiekę. Jeśli uderzył więźnia w twarz, ten jakby go piorun strzelił, padał na ziemię. I Szubert zazwyczaj już nie bił. Upojony był swoją siłą. Mam wrażenie, że więźniowie umyślnie padali, chociaż to wszystko było słabe, by uniknąć gorszych kombinacji, których pełno miał Szubert. Byli gorsi od niego: Campe, Gustaw Sorge, zwany „Eiserne”, Höring, Kaiser, ale najbardziej więźniowie zapamiętali Szuberta. A ten był jeszcze nienajgorszy.

d. c. n.

ŁUT SZCZĘŚCIA

„Charlie's Bar” na Tower Road w Sliema posiadał jeszcze w swych zapasach autentyczny gdański „Goldwasser”. Rozkoszny, pałacy płyn ze złotymi listkami, wirującymi w kieliszku.

Sam Charlie, w nienagannym białym kitlu, uważnie wyczekiwał momentu, w którym znów bezszelestnie ma się przysunąć do naszej kanapy i napełnić szklanki. Migotliwa, obrotowa lampa rzucała wielobarwne, ciepłe cienie na jedyne gości lokalu — Andrzeja i mnie.

Było nam dobrze. Po upalnym dniu chłodna atmosfera nocy w tym cichym barze przynosiła ogromną ulgę dla piekającej jeszcze od południowego słońca skóry.

Bezglównie obracały się cztery wielkie ramiona wentylatora u sufitu. Na górze, w tym samym domu ktoś zaczął grać „Warsaw Concerto”.

Andrzej oparł nóżkę kieliszka na gołym kolanie i przymknął oczy. Jeszcze wczoraj myślałem, że go już nie zobaczę więcej. Gdy wróciliśmy dwa dni temu z patrolu dowiedziałem się, że „oni”, to jest ich okręt podwodny jest „overdue from patrol”... Następna wiadomość bywa zwykle: „presumed lost”...

Ale są. Przyszli dziś. Brudni, nieogoleni, z przekrwionymi oczyma, mrugając powiekami od jaskrawego blasku światła dziennego. Uśmiechnięci jednak, dumni z szeregu nowych pasków na „Pirackiej Fladze”, znaczących nowe sukcesy.

Andrzej drgnął, gdy przy napełnianiu kieliszka Charlie rozlał mu trochę na nogę i uśmiechnął się błado.

— Wiesz Stary, — rzekł — że nie lubię o tym gadać, ale ten patrol to rzeczywiście dał nam satysfakcję...

Nie mówił dalej, ale wiem jak to wyglądało...

* * *

Wygonili nas w morze znieca, w środku odpoczynku między patrolowego. „Most secret, urgent” etc.

Staranie się o prowiant, wyszukiwanie urlopowanych ludzi po mieście i w nocy odkotwiczenie.

Pełnia księżycy wyiskrzyła wspaniały granat morza i dziób ciął spokojną powierzchnię, odkładając dwie fosforyzujące skiby na boki. Kilka monottonnych dni dojścia do sektoru. Jednostajny huk Diesel'i na powierzchni w nocy, duszno gorąco przez dziewiętnaście godzin zanurzenia w dzień w przejmującej ciszy. Nieustanny brzęk żyrokompasu i syk przetwornicy nasuwa myśli o brzęku pszczoł w letnie upalne południe, gdzieś w rodzinnych stronach.

Oczy robią się czerwone i podpuchnięte od stałego przebywania w sztucznym świetle i wypatrywania przez powiększające szkła peryskopu lub lornetki. Opalenizna lądowa wraz z narastającym brudem zwalkowuje się z ramion i nóg, kilkudniowy zarost kłuje, gdy przytkniesz twarz do poduszki... Wciągamy się w rutynę długich jeszcze dni patrolu...

Dziś wieczór wchodzimy w sektor. Całą wachtę rozświetla mi luna nad bombardowanym i płonącym portem nieprzyjacielskim. Co chwila strzelają w niebo gejzery wybuchów i zwolna wzlatają kolorowe paciorki pocisków smugowych.

„Toto”, który mnie zmienia, martwi się, że lotnictwo znowu nam „popsuje całą robotę” i będziemy tu tkwić bezpotrzebnie przez kilka dni.

O czwartej rano kolacja, „ostatni papieros” i... do „sосу”. Dziś, za dnia obejrzymy sobie dokładnie cały port i sytuację przez peryskop. Spodziewana jest ewakuacja Niemców na większą skalę.

Mam wachtę od ósmej. Koło dziesiątej jesteśmy już tylko milę od

portu. Z lekka zgarbiony przypieram oczy do okularów peryskopu i cał po cał przeglądam horyzont. Cały port i malownicze miasteczko spowite jest w kłębach czarnego, gęstego dymu, wznoszącego się potężną kolumną w górę, by rozczapierzyć się gdzieś wysoko w rozległy pióropusz. Spomiędzy dokoń i nadbrzeży strzelają czasem jasne języki płomieni lub wielkie snopy iskier. Cały ten widok, na tle radośnie świeżej zieleności wyspy i bajecznego błękitu morza wygląda niesamowicie ponuro. Dzieło człowieka, co jak zbrodniczy dysonans wkrada się do boskiej harmonii przyrody południa...

Koło dziesiątej zza falochronu wychodzą trzy ścigacze, wróg numer jeden okrętu podwodnego, i wolno obsłuchują całą redę. Ogłaszam ciszę na okręcie i schodzimy głęboko.

Podśluchowiec ze skupioną twarzą półgłosem melduje ich ruchy. Co chwilę przechyla głowę, przymyka powieki i widać, że cały przemienia się w słuch... Od jego zdolności słyszenia zależeć może życie trzydziestu kilku ludzi...

— Nadchodzi na wolnych obrotach z zamiaru sto piętnaście... Zastopował... Słysząc transmisję jego podśluchu... Odchodzi...

Mimo woli budzi się westchnienie ulgi...

— Głębokość peryskopowa!

Szybki krąg peryskopem dokoła horyzontu.

— Peryskop dół!

Podnoszę peryskop jeszcze raz i wolno przez powiększenie obserwuję każdy szczegół na morzu, rejestrując w mózgu widziane obrazy jak na kliszy fotograficznej.

— Z portu wychodzi duży statek!

Dowódca już jest przy peryskopie. Teraz on staje się jedyną osobą na okręcie, która „widzi”. Reszta spełnia cały szereg nieskończenie ważnych czynności, pompuje, odpala torpedy, przerzuca heble elektryczne lecz nie widzi nic poza swym manometrem, woltomierzem czy światłem kontrolnym. Każdy wie, że nieprzyjaciel jest tuż, czasem wprost nad głową, że idziemy do śmiertelnego boju, gdzie decydować będzie zimna krew i... przysłowiowy łut szczęścia... za pięć minut to rozświetlone jaskrawymi lampami wnętrze może stać się wspólnym grobem za przyczyną tego wroga, którego nigdy nie widzimy.

— Statek rzucił kotwicę! Oho, tu coś się szykuje... Z portu wychodzą barki z wojskiem...

Ciekaw jestem, czy dowódca gdzieś w swej podświadomości czuje, jak każdy chciałby mu dodać swoją parę oczu, by spotęgować jego zdolność spostrzegania i aby to napięcie nerwów wszystkich wcielić w jego jedną osobę w postaci jakiejś tytanicznej woli i genialnego talentu walki...

— Z barge wyładowują wojsko na zakotwiczony statek... Hólownik wyciąga drugą łajbę z portu!

Jesteśmy już dawno w alarmie bojowym.

— Strzelam po dwie torpedy do każdej łajby... Uwaga na aparatach!

— Aparaty gotowe!

— Ster prawo piętnaście! Ster zero! Wstrzymuj! Uwaga... Pierwsza pal!... Druga... Pal!

— Dwie torpedy odpalone!

Na oko, na czucie wyważam okręt, bo nie ma czasu bawić się w „aptekę”. Ster leży już lewo na burt, idziemy na drugi cel.

— Trzecia pal! Czwarta... Pal!

— Cztery torpedy odpalone!

Naciśnięcie silnie wzrasta wewnątrz okrętu, pot splywa ciurkiem po plecach. Dwa donośne stuki i potem długi grzmot potężnego wybuchu. Trafione!

Dowódca jeszcze raz szybko podnosi peryskop.

— Hurra! Obydwa toną!

— Lewo sześćdziesiąt słychać szybkie śruby — melduje podsłuch...

— Uciekaj głęboko — mówi mi dowódca.

Komenda na stery, uruchomienie pomp. Strzałka manometru głębokości drgnęła niechętnie i zrazu wolno a potem coraz szybciej zaczęła zataczać łuk po tarczy, przeskakując czarne, tłuste cyfry stóp zanurzenia...

I nagle suchy, potężny trzask, kończący się jakby wściekłym, urwanym syknięciem... Pierwsza bomba.

Zatrzymuję okręt na nakazanej głębokości. Chwila martwej ciszy.

— Idzie do ataku z zamiarem dwieście osiemdziesiąt — melduje podsłuch.

Padła seria. Dziesięć pod rząd. Pęka kilka żarówek, sypie się skądś kurz i korek z oszalowania.

Znów chwila przerwy... Nowa seria. Bardzo bliska i zda się nigdy niekończąca... Czternaście. Twarze naokoło są blade i pot występuje na skronie...

Strzałka manometru głębokości skoczyła w górę i nagle zaczęła szybko, równomiernie opadać. Zanurzenie rośnie, stery nie panują nad okrętem. Robi mi się gorąco. Zwiększenie szybkości lub uruchomienie pompy ułatwi nieprzyjacielowi podsłuch i sprowadzi prawie pewną śmierć. Pozwolić na trochę większą głębokość — ciśnienie wody zgniecie kadłub...

— Tu jest bardzo głęboko — mówi nawigator prawie szeptem, patrząc jak urzeczony na manometr.

Spoglądam pytająco na dowódcę. Nagle... Wstrząs jeden, — drugi, który nas mało z nóg nie zwałił, dziób wolno podnosi się do góry, kadłub skrzypi i szoruje po czymś twardym.

— Oba motory stop, — mówię i chwytam się linki peryskopu, by nie upaść. Siedzimy na dnie.

Pięć bomb wybucha nad głową. Sypie się szkło, spada ze strasliwym hukiem mały wentylator elektryczny.

— Na mapie nie ma żadnej skały, — odzywa się nawigacyjny takim głosem, jakby się usprawiedliwiał.

Okręt powoli obsuwa się w prawo, trąc kadłubem o skałę i jęcząc, jak żywe stworzenie. Jeśli się ześlizgnie, polecimy znów w głębię...

Dziób trochę opadł, wyrównał się trym, strasliwe skrzypienie ustało, okręt znieruchomiał...

Znów kilka bomb. Z nitów w kadłubie kapią krople wody. Powietrze staje się nieznośne, wielkie naciśnienie zmusza wszystkich do szybkich, urywanych oddechów i płuca nie wchłaniają odpowiedniej ilości tlenu.

Jedenaście długich jak wieczność godzin tkwimy w tej pozycji, zsuwając się co jakiś czas po kilka cali ze skały, ale przy akompaniamencie takich zgrzytów kadłuba, iż zda się, że całe piekło dźwięków rozszalało się nad nami.

Siedzę w centrali i czuję, że lada chwila zacznę gryźć pięści i wyć: „Dosyć!”...

Z grodzi od maszynowni patrzą na mnie niebieskie, dziecięce jeszcze oczy młodszego smarownika. Wyczytuję w nich zaufanie i wiarę w życie. To jego pierwszy patrol i pierwsze bomby w życiu... opanowuję się...

Wreszcie jest spokój. Ucichły bomby, podsłuch nie słyszy już śrub nieprzyjacielskich ścigaczy. Długie, szarpiące nerwy minuty odklejania się od skały, znów zgrzyty kadłuba, jęk wysyłających się motorów elektrycznych... W końcu szas balastów — wynurzenie!

* * *

Charlie niespokojnie ogląda się na zegar. Już czas zamykać lokal. Dopijamy jednym haustem likier ze złotymi listkami, wirującymi w kieliszkach...

— Mieliśmy jedną śrubę uszkodzoną, — mówi Andrzej, — ale zostaliśmy na patrolu. I dobrze się stało, bo za dwa dni rąbnęliśmy trzy wielkie barki pełne wojska.

— Ot, mieliśmy przysłowiowy lut szczęścia, — dodał, rozchylając kurtynę w wyjściu...

Ubiegły rok zamknięty został trzema ważnymi wydarzeniami o bardzo dużym znaczeniu naukowym i praktycznym, a mianowicie dwoma odkryciami i jednym wynalazkiem. Są to najważniejsze wydarzenia nie tylko roku; może całego dziesięciolecia, jeżeli nie więcej. O jednym z tych odkryć i o wynalazku prasa codzienna pisała szeroko i obficie, ale wyszukiwanie „najsensacyjniejszych” cech nie zawsze, a raczej bardzo rzadko może naprawdę ujawnić istotę i znaczenie zjawiska. O drugim zaś odkryciu pojawiły się wiadomości w literaturze fachowej, toteż pozostało ono całkowicie szerszej publiczności nieznaną. Te dwa odkrycia, to penicilina i planety pozasłoneczne, zaś wynalazek to samolot reakcyjny.

Dzisiejszą notatkę poświęcimy najistotniejszym wiadomościom o penicillinie, zestawionym głównie na podstawie autorytatywnego wykładu jednego z współodkrywców, prof. H. W. Florey'a, wygłoszonego na początku grudnia ub. r. w Royal Institution.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że penicilina, wbrew popularnym poglądom nie jest środkiem bakteriobójczym. Nie jest to zatem żaden nowy antyseptyk. Nowoczesna medycyna coraz niechętniej stosuje antyseptyki do leczenia, bowiem zabijają one nie tylko bakterie, ale również leukocyty (białe ciała krwi), będące naskuteczniejszym, bo celowo przez organizm kierowanym antyseptykiem. Ponadto środki bakteriobójcze potrafią uszkadzać żywe komórki tkanek, natomiast stosunkowo niewiele szkody przynoszą sporom bakterii chorobotwórczych (w tych rozcieńczeniach, w jakich można je bezpiecznie aplikować).

Środki bakteriostatyczne, do jakich należy m. in. penicilina nie zabijają bakterii, ale skutecznie hamują ich rozwój, a więc zarówno rozmnażanie przez podział, jak tworzenie spor. Ponieważ przy tym aktywność leukocytów nie doznaje żadnej szkody, przeto mogą one łatwo zniszczyć „obezwładnione” bakterie. Przy wszelkim bowiem zakażeniu najgroźniejszym zjawiskiem nie jest jadowitość poszczególnych mikroorganizmów, lecz dopiero połączenie tej jadowitości z szybkością rozmnażania. W warunkach pomyślnych bakteria rozmnaża się przeciętnie co 20 minut. Nie wydaje się to pozornie tak wiele póki nie obliczymy, że w ten sposób z każdej pojedynczej bakterii w ciągu 24 godzin może powstać astronomiczna liczba mikroorganizmów, a mianowicie 2^{72} (co w przybliżeniu równa się 47 z dziewiętnastoma zerami).

Cały proces zwalczania choroby infekcyjnej polega właściwie na tym, aby do ogniska zakażenia leukocyty dostawały się w liczbie zdolnej pochłaniać bakterie prędzej, niż mogą się one rozmnażać. Jeżeli przy tym będziemy pamiętać, że białe ciało krwi pochłonawszy bakterię ginie, to łatwo zrozumiemy przebieg walki organizmu z zakażeniem, oraz znaczenie penicilliny, która jest najpotężniejszym ze znanych dotychczas środków bakteriostatycznych. Jej aktywność jest zupełnie niewiarygodna. Działa ona jeszcze w rozcieńczeniu na pięćdziesiąt milionów!

Oczywista, odkrycie penicilliny nie nastąpiło nagle w ubiegłym roku. Jest to wynik wielu lat usilnej pracy całego zespołu uczonych, skierowanej na właściwą drogę przypadkowym spostrzeżeniem dokonanym w 1929 r. Prof. A. Fleming

z londyńskiego szpitala St. Mary, prowadząc badania bakteriologiczne zauważył, iż substancja wydzielana przez rosnącą pleśń hamuje rozwój stafilocoków, bakterii należących do najbardziej zjadliwych. Samo zjawisko niszczenia jednych mikroorganizmów przez inne znane było już dużo wcześniej. Opisał je w roku 1877 Pasteur, nazywając je antybiozą. Od tego czasu zbadano bardzo wiele substancji antybiotycznych i w roku odkrycia penicilliny ukazała się nawet obszerna praca naukowa, substancjom tym poświęcona. Żaden jednak z tych środków nie znalazł praktycznego zastosowania w medycynie, choć usiłowano to czynić wielokrotnie.

Przypadek prof. Fleminga polegał na tym, że pleśń, która dostała się z powietrza na jego hodowle bakteryjne należała do rzadkiego stosunkowo gatunku *Penicillium notatum*, oraz że profesor zaczął to zjawisko badać bliżej, zamiast zignorować je jako „dostatecznie” znane. Osobliwość zaś tego przypadku leży w tym, że antybiotyk wydzielany przez *Penicillium notatum* jest jedynym (ze znanych do dziś dnia), który nie jest równocześnie trujący dla organizmu. Odkrycie prof. Fleminga zainteresowało go głównie dlatego, że penicillina okazała się antybiotykiem skutecznym przeciwko stafilocokom i niektórym innym, szczególnie groźnym dla człowieka mikroboom. Kilkoletnie jednak wysiłki tego uczonego, podjęte wspólnie z innymi (Clutterbuck, Lovell, Rastrick) nie zdołały doprowadzić do wydobycia czystej substancji z płynu (bulionu bakteriologicznego) w którym hodowano grzybnię pleśni. Stwierdzono jednak, iż penicillina jest zapewne substancją bardzo nietrwałą, tak że nie da się jej otrzymać w stanie względnie czystym, nadającym się do sto-

sowania w medycynie. W ten sposób po trzyletnich wysiłkach praca nad penicilliną została zaniechana. Podjęto ją ponownie dopiero w sześć lat później, gdy prof. Florey wraz z d-rem Chain przystąpili do systematycznego zbadania różnych substancji antybiotycznych. W pierwszym rzędzie zajęto się substancjami, działającymi na bakterie chorobotwórcze, a więc „pocijanazą”, odkrytą w r. 1899, oraz penicilliną.

Badania, prowadzone z całym dostępnym dzisiejszej nauce aparatem technicznym wymagały współpracy licznych uczonych. Poza wymienionymi już prof. W. H. Florey'em i dr. E. Chain'em brali w niej udział: dr. E. P. Abraham, prof. A. D. Gardner, dr. N. G. Heatley, dr. M. A. Jennings, dr. A. G. Sanders, dr. C. M. Fletcher, pani Florey wraz z obszernym zespołem lekarzy, bakteriologów, chemików i pracowników laboratoryjnych. Dopiero w ubiegłym roku łączne wysiłki tej znakomitej ekipy uczonych, prowadzone w Zakładzie Patologii uniwersytetu oxfordzkiego, doprowadziły do wydobycia trwałej substancji, zawierającej wprawdzie zaledwie 10—20% czystej penicilliny, ale nadającej się już do badań klinicznych.

Ustalono zatem, iż wśród licznych bakterii, na które penicillina działa skutecznie są zarazki wywołujące ropienia (*Streptococcus pyogenes* i *Staphylococcus aureus*), gangrenę (*Clostridium welchii*, septique i oedematum), dyfteryt (*Streptococcus diphtheriae*), zapalenie mózgu (*Neisseria meningitis*), zapalenie płuc (*Streptococcus pneumoniae*), oraz wiele innych natomiast penicillina nie działa na zarazki cholery, dezynтерии, gruźlicy. Penicillina może być stosowana bądź w zastrzykach podskórnych, czy domięśniowych, bądź w okładach, gdy bezpośrednio zakażona

tkanka jest dostępna. Stosowanie doustne jest wykluczone, gdyż sok żołądkowy rozkłada penicillinę. Niestety, dziś jeszcze penicillina jest produkowana w tak niewielkich ilościach, że stosowana być może dopiero w ostateczności, a więc gdy wszystkie inne środki zawodzą. Można jednak mieć nadzieję, iż stan ten zmieni się niebawem, bowiem w obu krajach anglosaskich całe legiony chemików i biologów pracują w laboratoriach zakładów naukowych i przemysłowych nad udoskonaleniem metod produkcji tego niezwykłego leku, tak aby można go otrzymywać w stanie bardziej czystym, a przede wszystkim w dostatecznej ilości.

Podniecenie, zupełnie zresztą zrozumiałe, zainteresowania laików tym nowym a potężnym lekiem, spowodowało znaczną ruchliwość reporterów prasowych i w rezultacie doprowadziło do poważnego zamieszania przez ogłaszanie wiadomości o różnych innych substancjach antybiotycznych, których bardzo wiele znajduje się obecnie w badaniu. Do ich rzędu należy np. patulina, wydzielona z grzybni innej pleśni, *Penicillium patulum* w londyńskim Zakładzie Higieny i Medycyny Tropicznej. Fama patuliny w szerokiej opinii publicznej zaczęła się od wiadomości, iż dr. W. E. Gye przypadkowo zastosował ten środek i

otrzymał wyleczenie z grypy. W rzeczywistości chodziło tu o zwykły katar, ale nawet i w stosunku do kataru leczenie patuliną nie jest jeszcze klinicznie zbadane, tym bardziej, że jest to substancja wcale nie obojętna dla organizmu. Poza tym w różnych pismach amerykańskich ukazywały się wzmianki o wielu innych „cudownych” środkach tego rodzaju. Z różnych gatunków pleśni w istocie udało się wydzielić szereg substancji antybiotycznych. Istnieje zatem *clavatina* (z *Aspergillus clavatus*), *claviformina* (z *Penicillium claviforme*), *fumigatyna* (z *Aspergillus fumigatus*), *kwasy gigantowe* (z *Aspergillus giganteus*) i wiele, wiele innych. Niektóre z nich są zapewne tylko różnymi nazwami, nadanymi tym samym substancjom przez różnych badaczy. Są one poddane badaniom, gdyż po pierwsze mogą wyjaśnić chemiczną i atomową budowę antybiotyków, co pozwoliłoby marzyć o ich syntezie, a poza tym, choć toksyczne, mogą one w pewnych wypadkach mieć znaczenie dla leczenia. Wszystkie te jednak badania są jeszcze w stadium dalekim od jakichkolwiek praktycznych wyników dla medycyny. Tak samo jak w przypadku penicilliny trudno spodziewać się, aby wyniki dały się osiągnąć bez wieloletnich badań całego zespołu uczonych.

SPIS RZECZY

	Str.
KSAWERY PRUSZYŃSKI — <i>Stanisław Staszic</i>	225—233
MARIA PAWLIKOWSKA — <i>Wiersze</i>	233
BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI — <i>Pisane we mgie</i>	234—235
ZYGMUNT HAUPT — <i>W Paryżu i w Arkadii</i>	236—244
ANTONI SŁONIMSKI — <i>Liryka</i>	245
BOGUSŁAW KUCZYŃSKI — <i>Po upadku Mussoliniego</i>	245—251
STEFAN THEMERSON — <i>Pölatüo</i>	251—264
MAREK CELT — <i>Koncert</i>	264—273
STANISŁAW ILEWICZ — <i>Oranienburg — Alderney — Kortenmark</i>	273—281
ANDRZEJ GUZOWSKI — <i>Lut szczęścia</i>	282—284
SUADUS — <i>Notatki reportera naukowego. Penicillina</i>	285—287

BRAK NUMERÓW

musza nas do bezwzględego przerwania wysyłki „Nowej Polski” tym czytelnikom, którzy nie wznowili opłacenia prenumeraty

TOM IV

TOM V

Prenumerata roczna na 1945 rok

£1.16.0

nie zmieniona

£1.16.0

★ ★ ★
 **CZASOPISMO POLSKIEJ MYŚLI
 NIEZALEŻNEJ**



NOWA POLSKA jest największym i najpoważniejszym dziś periodykiem w języku polskim.

NOWA POLSKA służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie.

NOWA POLSKA pozyskała najwybitniejszych pisarzy, publicystów i poetów emigracji. W Nowej Polsce ogłosili utwory następujący autorzy:

Andrzejewski, Baliński, Bartosik, Bloch, Bramson, Broniewski, Cękałski, Ciolkosz, Czarnomski, Czuchnowski, Daniłowiczowa, Domański, Dziewanowski, Estreicher, Eydziatowicz, Falska, Fiedler, Gazda, Górka, Gotlib, Gross, Grosfeld, Grubiński, Haupt, Hemar, por. Herbert, Horzelski, Hertz, Hładki, Janta, Karpieński, Kitay, Kneblewski, Konarska, Korian, Kossowski, Kot St., Kriedl, Krzywan, Kuczyński, Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Lisiewicz, Łagniewski, Łęczy, Łobodowski, Malczewski, Malessa, Malinowski, Markowski, Machalski, Mrozowicki, Muczowski, Naglerowa, Nagórski, Olcha, Ordega, Pawlikowska, Parnicki, Piotrowski M., Polczyński T. J., Potworowski, Pomian, Pragier, Piskor, Pruszyński, M. Pruszyński, Poznański, Piątkowski, Raczyński E., Stonimski, Sokolów, Stankiewicz, Stańczyk, Strzałkowski, Stawiński, Stempowski, Strasburger, Szerer, Szczepański, Szerbiec, Szczytt-Lednicka, Solski, Terlecki, Themerson, Topolski, Tuwim, Tuwimówna, Wali-górski, Wilk, Wieniewski, Winiewicz, Wilga, Wittlin, Wójcicki, Zahorska, Zasławski, Zamoyski, Zubrzycki, Zweig, Żuławski, Żyw.

Nowej Polski zeszyty miesięczne stanowią objętość większej książki, a są jednak w przystępnej cenie s. 3/-. Abonament roczny z przesyłką:

w W. Brytanii i Dominjach	£1 16 0
w Ameryce Płn. i Płd.	\$7.50
Roczniki Oprawne za 1942	£1 6 0
„ „ 1943	£1 15 0
„ „ 1944	£2 0 0

Adres: 91, Great Titchfield St., London, W.1.

TEL. MUS. 1409.

Zagraniczni abonenci proszeni są o nadsyłanie opłaty z góry w postaci Imperial Postal Orders — lub czeków.

... A **TYMCZASEM**
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU
PRZY DŹWIĘKACH PŁYT **DECCA**

Własna piwnica wyborowych win

OBIADY i



KOLACJE

Le Coq d'or Restaurant

POD KIEROWNICTWEM OSOBISTYM
 G. HENRI SARTORI

Stratton St., Piccadilly, W. I

Tel.: MAYfair 7807-9

POD NOWYM ZARZĄDZENIEM!

RESTAURACJA
 FRANCUSKA

LACOQUILLE

79, ST. MARTINS LANE.
 LONDON W. C.

TEL.: TEMple 8768

W niedziele zamknięta

L'ESCARGOT

BIENVENU RESTAURANT

maison française

Partners:

GEO GAUDIN, ALEX GAUDIN
 (French)

48, Greek Street, Shaftesbury Av.

London, W 1

Tel.: GERrard 4460

ESPLANADE

HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT
 LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz
 telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała
 kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd: Stacja kolei podziemnej
 Warwick Ave. na brązowej linii.

Telephon: HONG KONG GER. 6847



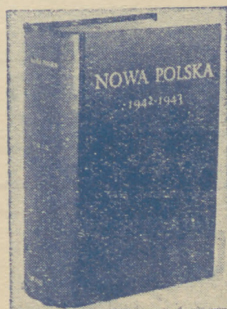
HONG KONG

CHIŃSKA RESTAURACJA

58-60, Shaftesbury Avenue
 London, W. 1.

otwarta do godz. 10 w nocy.

Dzięki ofiarności naszych czytelników
 udało nam się dodatkowo skompletować
 53 tomy oprawne 1942 r.
 35 „ „ 1943 „ (bez Nr. 12)
 90 „ „ 1944 „



Cena za
 całość
 3-ch tomów
 £ 5.0.0

OBECNIE
 wysyłamy w
 pierwszym
 rzędzie opła-
 cone z góry
 zamówienia

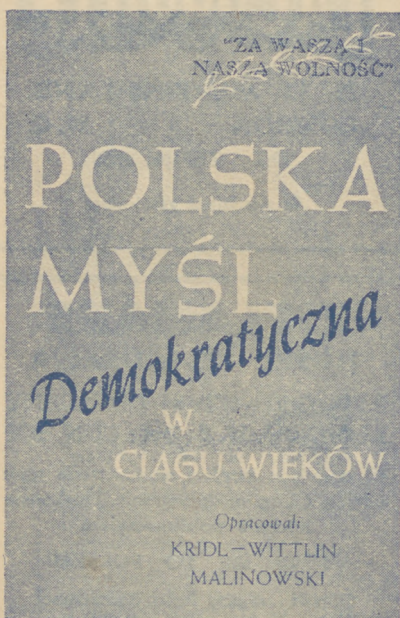
ZA WASZĄ I NASZĄ WOLNOŚĆ POLSKA MYŚL DEMOKRA- TYCZNA W CIĄGU WIEKÓW

Antologia w opracowaniu:

M. KRIDLA, W. MALINOWSKIEGO, J. WITTLINA

Już ukazała się nakładem „Nowej Polski“ i „Polish Labour Group“ powyższa książka, jednocześnie w Ameryce i w Wielkiej Brytanii, która winna znaleźć się w ręku każdego szczerego demokracj.

Książka ta ponadto zawiera teksty dokumentów historycznych: Konstytucyj, Programów, Manifestów, Deklaracji i. t. d. Osobny dział poświęcony Polsce Podziemnej zawiera wypowiedzi demokratycznych grup politycznych w kraju.



Z PRZEDMOWY BERTRANDA RUSSELLA DO WYDANIA ANGIELSKIEGO

MAM NADZIEJĘ, że książka ta będzie szeroko czytana. Daje ona obraz polskiej myśli postępowej, od piętnastego wieku aż po dzień dzisiejszy. Końcowe jej rozdziały stanowią oświadczenia Rządu polskiego oraz polskiego ruchu podziemnego, który działa mimo teroru Gestapo. Prócz tekstów, zamieszczonych w tej książce znajdzie czytelnik wyjątki z pism autorów, odwieczdzielających zasady demokratyczne i socjalistyczne nie tylko stanowczo i fobwie wymownie, jak najlepsi pisarze Zachodu, znajdzie on również nieustraszone potępienie antysemityzmu, militarysty, przawilejów autokratycznych i innych, dobrze znanych, przejawów zła, które trapiło Polskę na równi z wielu innymi krajami. Redaktorom książki należy się specjalne uznanie za całkowitą szczerść w przedstawieniu tych bulwers, zwłaszcza w latach, które bezpośrednio poprzedziły wybuch obecnej wojny. Żaden kraj nie ma monopolu na posiadanie słych reguł i byłoby wielkim niedem odzwierciedleniem i złości Polacy dlatego, że próż jest pewien czas najgorzej elementy reakcyjne zdolały narzucić narodom polskiemu — i g tymczas.

Historja Polski jest tragiczna od czasu jej rozbioru przez ówch „ufurczonych despotów“ Fryderyka, króla-filozofa, i Katarzynę, Seniera mied Polnocy (jak nazywał ich Voltaire i inni pooblebzy). Nic dziwnego więc, że nieszczęście te wywołały wśród Polaków nieco zbyt gwałtowny nacjonalizm; lecz autorzy, których prace zamieszczono w tej książce, całkowicie są od niego wolni.

Spodziewam się, że podobnie jak ja — tak i czytelnicy tej książki uważają uderzające podobieństwo celów, ku którym dąży postępowi Polacy oraz postępowi działacze Demokracji Zachodnich.

Mam nadzieję, że pomoże to, aby wierzyć, że większość narodu polskiego przystąpiła zawsze wiernie zasadom demokracji.

Bertrand Russell

Uwzględnieni autorzy: Włodkowic, Ostroróg, Modrzewski, Rej, Goślicki, Skarga, Budny, Stoński, Przykowski, Konarski, Kollataj, Staszic, Potocki, Pułaski, Kościuszko, Mochnacki, Lelewel, Mickiewicz, Worcell, Kamieński, Ściegienny, Prus, Orzeszkowa, Świętochowski, Nałkowski, De Courtenay, Srokowski, Witkiewicz, Balzer, Lednicki, Waryński, Limanowski, Piłsudski, Daszyński, Krauz, Baron, Krzywicki, Abramowski, Brzozowski, Żeromski, Strug, Berenson, Witos, Skrzyński, Ganszyniec, Niedziałkowski, Thugutt, Lieberman, Estreicher, Znaniecki, Alter, Kulczyński, Paderewski, Próchnik, Sikorski, Stańczyk, Słonimski, Malinowski.

Str. 448

Cena 2l szyl.

SKŁAD GŁÓWNY

W „NOWEJ POLSCE“

91, Great Titchfield Street, London, W. 1

3/- Published by „Nowa Polska“ 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by 3/-
JOHN BALE & STAPLES LIMITED (A STAPLES PRESS COMPANY)
83-91 Great Titchfield Street London W 1

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Advertising Offices, The Carlton Berry Co.,
Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.